





INTERESA
FAMILIJNE.

MB ————— *MB*
POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cen-
zury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exem-
plarzy.

W Warszawie, d. 5. (17.) Czerwca 1852. r.

Starszy Cenzor,
Radca Cenzoru, *L. T. Tripplin.*

I.

Milo to spojrzeć na stare budowle — domy stare stawili jeszcze ludzie co w przyszłość wierzyli, co myśleli o jutrze; my dzisiaj klecim wszyscy aby dzień do wieczora w nim dobyć. To téż stare domostwa oglądać aż lubo, tak w nich każda część, najdrobniejszy szczegół, wypracowane, wychuchane, obmyślane na trwanie, wygodę i wdzięk. W naszych palacykach świeci się wiele, ale tylko świeci; pod spodem wszędzie próchno, wilgoć, grzyby i zgnilizna. Bodajto dawne czasy! Ale nie pora nad nimi się rozwodzić i porównaniem nas zawstydząć; je-

steśmy w sali starego ale jeszcze krzepkiego dworu; obejrzymy się w około póki kto nie nadejdzie.

Troje okien naprzeciw nas: przez nie widać sad owocowy, agrestowe i porzeczkowe uliczki, popodpiérane stare jablonie, grube stuletnie grusze i nieprzejrzane zieloności massy. Troje drzwi, z których jedno naprzeciw okien, dwoje w bocznych ścianach, wiodą do reszty pomieszczeń. Ściany ciemne powleka starannie przypuszczona lamperya dębowa; w niej na zieloném tle, szare jakieś mgłą się desenie, wielce już spłowiałe. Na prawo i lewo, między ramami lamperyj, kilka wygolonych głów i jedna zakwefiona matrona oglądają na nas z portretów. Brzydkie malowanie, ale pędzel nie potrafił, mimo usilności z jaką nad tém pracował, popsuć twarzy wspaniałych, poważnych, spokojnych. Przypatrzcie się tylko jak im dobrze w tych sobolich i ry-sich szubach, pokrytych zlocistemi i pąsowemi adamaszkami, w tych kwiecistych deljach, białych kontuszach, z rękami na szablach spartemi, z oczyma utkwionemi gdzieś w daleką przyszłość czy przeszłość. Pomiędzy rycerzami jedna matrona modli się na księdze, krzyż przy niej, a poniżej jakieś muzyczne narzędzie. Tęskne jój wejrzenie skierowało

się na Chrystusa i wciąż ku niemu pogląda, jakby mówiła: — Pociesz mnie!

Krzesła, stoły, wszystko odpowiada ścianom i ich powłoce: mocne, ciemne, stare, niepozorne ale gotowe przetrwać jeszcze wieki. Zakurzony klawikorcik w kątku się ukrył i wstydzi że tak niepoczesny; na nim stoi warcabnica, leży talja kart starych. Otóż i wszystko co ozdabia i zapełnia salkę. Smutno w niej czegoś, i gdyby nie te pocziwe portrety co ją ożywiają trochę, człekby tu sam nie lubił pozostać.

Z sieni słychać uderzenie zegara; powoli wybija południe i za szóstym młota dźwiękiem otwarły się drzwi z prawej strony, wszedł już nie młody mężczyzna. O! jakie do portretów niepodobny!

Wysoki, chudy, blady, żółty, z twarzą pomarszczoną dziwnie, zgarbiony nieco skutkiem wzrostu i wieku, wygląda na nieboszczyka, któryby z grobu powstał, tak znużony, znudzony, tak wyżyty i zbutwiały. Siwe, może niebieskie dawniej oczy, zblędały mu zupełnie, brew gęsta je ocieniła, czoło pofałdowało się wzdłuż i w poprzek, policzki pościęgały fantastycznie, usta zakłęsły, broda wyskoczyła i piękny tylko orli nos na tych ruinach pozostał niewzruszony.

Strój jego przypomina niedawną przeszłość, siwe włosy przyprusza zapomniany puder, zaczesano je w tył wszystkie, a kilka loczków dowodzą, że nie bez pretensyi do wdzięku—reszta ubrania do pudru stosowna. Na nim frak cynamonowy, dawnym krojem z guzami stalowemi, racymorowa długa kamizela suto wyszywana, ale oddawna zwiędła; spodnie aksamitne czarne, po kolana, na nie buty z kutasami karbowane na podbiciu. Zapomnieliśmy sutych za-
botów z kameą w nie wpiętą i przepysznych chociaż
pożółkłych u rąk koronkowych mankietów. Ręce
warte są téj ozdoby i zawstydzają koronki białością
swą i dobrze zachowanemi kształtami; znać na nich
że nigdy nie pracowały, że krew nie zabiegała w nie,
że osłonięne, pielęgnowane, pieszczone, słońca i wia-
tru nie widziały. Na prawej ręce siedzi wielki sy-
gnet ametystowy, na małym jój paluszk brylantowa
obrączka.

Przybyły wszedł powoli, ziewając, spojrzał zamar-
łém okiem do kola, przedreptał posuwając trochę
nogami wzdłuż sali, popatrzył machinalnie przez
okna i całą swą postacią wyrażał dobitnie nudę, któ-
ra go wewnątrz trawiła. Dobył złotój tabakiery
z kamizelki, zażył tabaki, otrząśł popruszony żabot,

podniósł oczy do sufitu, dostał z drugiej kieszeni kameryzowanego zegarka, na którym jaśniała emalowana cyfra Stanisława Augusta, ziewnął powtórę i potrzeć, i obejrzał się na drzwi wchodowe z oznaką niecierpliwości, zdając się przysłuchiwać niespokojnie i dziwić że nie słyszeć nie mógł.

Nareście przyspieszony chód zatętnił w sieni żywo, coraz spieszniej przybliżał się ku drzwiom, ostrożnie otworzyły się podwoje i mała figurka ukazała na progu.

Nim się ci panowie przywitają, spojrzymy z kolei na małą figurkę.

To coś zupełnie nie z tych czasów, do których należy pierwsza tylko co widziana postać—sto lat przynajmniej dzieli tych dwóch ludzi. Przybyły młody chłopiec, w dzisiejszym stroju, ubrany bardzo skromnie, ubogo, ale dosyć czysto, twarz ma znużoną, smutną, bladą i zawczasu przekwitłą; na niej wyraz jakiegoś przestachu, przynębienia i nie świeżej już hołści, z pod której przegląda jakby błysk niecierpliwy stłumionego dowcipu i przebiegłości. Wszedł z udaną czy prawdziwą hojaźnią i wstrzymał się powitany surowym wzrokiem. Nie śmiało jego oko, usta drżące, cofnęły się z wejrzeniem i gotowem sło-

wem przed groźn^{ym} obliczem upudrowanego mężczyzny. Poprawił na sobie surducika szczelno popapinanego, odchrząknął i po chwili wahania, w prostej linii pośpieszył ku stojącemu w postawie rozkazującej, z widocznym zamiarem ucałowania jego ręki. Wyciągniona ręka, podniosła się do góry, cofnęła i głos chrypliwy, suchy, zapytał:

— No? gdzieżeś to Asindzięć bywał? co to jest znowu? Słyszałeś! dwunasta wybiła, a o trzech kwadransach być powinienes tutaj i czekać—Co to jest! co to jest!

— Niech stryj dobrodziej raczy darować, — odpowiedział, niby drżącym głosem, z udaną zręcznie bojaźnią, młody człowiek—jestem cokolwiek niezdrowszy (tu kaszlał) głowa mnie bolała.

— Nō! ale w takim razie, wszak wiesz Asindzięć jaki jest porządek, rzekł starszy. Czemu nie postąpiłeś wedle przepisów? W porządnym domu wszystko iść powinno wedle pewnych reguł. Skoro jesteś chory, dajesz znać panu Terminiowskiemu, pan Terminiowski melduje mi o tém, i otrzymujesz upoważnienie chorowania.

— Ja bo stryju dobrodzieju—odezwał się młodszy—pomimo choroby chciałem być pilnym na jego usługi—i...

— No! no! na ten raz indulgencya! ale niech się to więcćj nie przytrafia; ten ból głowy i opóźnienie o cały kwadrans, niepraktykowane....

Stryj zażył tabaki nieco uspokojony, i gdy synowiec ze spuszczonei oczyma stanął, założywszy ręce w tył, niedaleko progu, oparty o stółek, on usiadł, zarzucił nogę na nogę i rozpoczął rozmowę, która przypominała bardzo wydawanie nauczonćj lekcyi, tak machinalnie szły pytania i odpowiedzi.

— Na dworze? — spytał krótko stary.

— Wilgotno i pochmurno, parno, deszczu się spodziewać.

— Barometr?

— Trochę opadł od wczoraj.

— Stopni ciepła?

— Dwadzieścia cztery.

— W cieniu?

— W cieniu.

— Dwadzieścia i cztery w cieniu! — powtórzył stryj — to wiele, to bardzo wiele. — Cóż tam nowego?

— Siwy żrebiec....

— Co? chory, uchowaj Boże?

— Zupełnie zdrów, przeprowadzono go dzisiaj na przechadzkę.

— Papuga czy dojrzana?

— Sam jęć jeść dawałem.

— Nie kazałem jęć już sobie dzisiaj przynosić, bo innie zaczyna nudzić swojém paplaniem; ale proszę mieć na nią oko, może mi przyjść do nięć kaprys.

Rozmowa stanęła na papudze, gdy szustanie nogami dało się słyszeć w sieni; stryj spojrzeł znowu na zegarek, drzwi otworzyły się ostrożnie i weszła kobięcina nie pierwszj już młodości, tłuściuchna, uśmiechnięta, wesołj fizyognomii i milego twarzy wyrazu, odziana w resztki dawnego wykwintu, który teraz wyglądał na świeże, starannie polepione ubóstwo. Na widok jęć powstał z chyżą galanterją stanisławowskich czasów gospodarz i nastroiwszy się do uśmiechu, powitał ją nadywyczejnie grzecznie ustami, choć widać było, że te wyrazy nie lub niewiele znaczyły. Była to prosta forina, w której nie dźwięczyło żadne uczucie. Kobięcina pokorna, zmieszana, usiadła na rożku krzesła, które jęć podał młody chłopiec i owijając szalem spłowiałym nie zbyt już wysmukłą kibić i podartą trochę suknię, odezwała się z wesołością nadrobioną:

— Jakże się stryjowi dobrodziejowi spalo?

— Wybornie Mocia dziko! wybornie! rozeszliśmy się o pół do dziesiątej, wedle zwyczaju; do pół do jedenastej tylko czułem, że mi podeszwy lechtano i kamiennym snem spałem aż do szóstej, a to dobra porcja. No? a Asińdzka?

— Upadam do nóżek stryja dobrodzieja, jakżeby to można źle spać u niego, gdzie tak wygodnie?

— Całuję rączki za grzeczny komplement; ale nie sądzę żeby w oficynie....

— O! oficyna to lepsza od naszych dworków.....

Gospodarz twarz obrócił ku ogrodowi, i poglądził się pod brodę, jakby próbował czy dobrze była ogolona. Wybił kwadranś na pierwszą. W sieniach chód znown, otwierają się drzwi jeszcze, i trzeci gość wchodzi do sali; zimno go wita gospodarz, ukośném wejrzeniem i kwaśnym uśmieszkiem synowiec, grzecznie i łagodnie kobiéta.

Jest to mężczyzna wysoki, barczysty, zarosły wąsami sążnistemi i bakembardami, dość opasły, z brzuchem opackim; ubrany w zieloną czamarę z furażerką wojskową w rękę, z ruchami żołnierskimi i fizyognomią wojskową. Twarz jego nie wydaje nic wnętrza; otwarta, rubaszna wesołość, obojętność jakaś

mężna, wybitniej ją tylko cechują. Wszedł powoli, uklonił się nisko, choć go trochę może ten pokłon kosztował, zatarł ręce zmieszany, musnął wąsa i odezwał się:

— Dzień dobry stryjowi dobrodziejowi.

— A! upadam do nóg pana Rotmistrza! — odpowiedział gładząc brodę stryj. — Cóż tam słychać?

— Nic, duszno tylko i deszczu omal że nie wiadać — niéma czém tchnąć.

— Dlatego to pewnie i mnie w kolanach kluc zaczyna.... Zmiana niechybna.

— Co się tycze klucia — spieszenie przerwała uśmiechnięta kobięcina — dowiedzioną rzeczą, że na takie suche bóle, nie ma nic lepszego, jak....

— Jak nic nie robić — dorzucił odwracając się stryj — za stare grzechy musi się coś odezwać... a najstraszniejsza podobno choroba, to lekarz i kuracya....

— Być może, czasem, ale gdzież się tak drogie nam zdrowie zaniedbywać! — szybko i z wyrazem szczerego uczucia poczęła kobięta...

— Ba! ba! szeroko o tém drogiém zdrowiu pisał Dawid — wybąknął stryj — i o lekach, i o....

Tu przerwał; dwaj mężczyźni tymczasem stali nie opodal od siebie, ukradkiem tylko spoglądając jeden

na drugiego, to na kobietę, to na stryja, a towarzystwo wcale nie miało ochoty połączyć się i zlać w jedną całość.

Pierwszy co wszedł po gospodarzu, pokorne a żwa-we chłopię, mierzył barczystego Rotmistrza dziwnym wzrokiem, w którym i strach i szyderstwo się mieszało; drugi z niejaką zawiścią i gniewem stłumionym, niezręcznie ukrytym, przyglądał mu się wzajemnie; stali w milczeniu nie przemówiwszy do siebie; kobięcina cała była zajęta usuniechaniem się do stryja, który od niej twarz odwracał.

Wybiło pół do pierwszej, i w téjże chwili otworzyły się drzwi; kamerdyner wystrojony w trzewikach i pończochach, we fraku i całym ubraniu wieku gospodarza, ale znacznie od niego młodszy, ukazał się na progu. Za nim dwóch służących, w liberyi cynamonowej z żółtém, wniesli ogromną tacę, na której były przekąski, wódki, zimne wędliny, nowalijki różne, sery, śledzie i wszystko, czego się zwykle używa dla obudzenia śpiącego żołądka.

Przysmaczki te ustawione były ślicznie, pozamykane w naczyniach powabnych lub rozłożone na przepysznej stariej saskiej porcelanie; ale na cztery

osoby byłoby ich za mało, na jedną zdawało się za wiele.

Stryj, którego odtąd Kasztelanicem lub Szambelanem zwać będziemy, spojrział na zegarek jakby dla sprawdzenia godziny, którą słyszał bijącą, zawinął mankiety, i zaledwie postawiono na stole tacę, wziął się zaraz do niej, a spojrzawszy na swoich gości, których jakimś tylko niewyraźnym mruknieniem zaprosił.

Kobięta pierwsza odsunęła się od stołu, dziękując z uśmiechem.

— Poczekam na obiad — odezwała się pokaszlując i szybkim wejściem mierząc dwóch swych towarzyszków.

Rotmistrz istotnie godzinę był widzenia, na takie go tortury wystawiało śniadanie: z miny, z oczów ze ślunki którą polykał, widać było jak mu się chciało rzucić na przysmaki, ale miał zapewne powód ani się nawet ku nim zbliżyć; założył rękę w kamizelkę, żeby się ani posunęła ku zakazanemu owocowi, podniósł oczy w niebo jakby wzywając daru cierpliwości, i na palcach odstąpił ku oknom ogrodowym, unikając pokuszenia na jakie zapach go mógł narazić.

Młode chłopię pokornie zostało na swojém miejscu, ale z oczu jego błyskał chwilami szyderski jakiś wyraz.

Już z pięć minut w milczeniu towarzyszącém pracy głęboko pojętej, nasyczał się Kasztelaniec, zmiatając ogromnemi porcyami co napadł, nie bez pewnego jednak porządku postępując ku coraz ostrzejszym przekąskom;—już dwakroć zapił likworem coraz odmiennym, a jeszcze ani spojrzał co się w koło dzieje—gdy znowu otworzyły się drzwi, a niemi śnielęj od pierwszych przybyłych, głośniej, szumniej, a zawsze nie bez oglądania się na siebie, wszedł mężczyzna stary, poważny, łysy, z wąsem siwym, w polskim stroju dosyć przeszarzanym, z miną, która okazywała, że nie tyle co inni dbał o przyjęcie, które go tu spotka, będąc siebie pewniejszy.

Miał on na sobie szaraczkową kapotę faldzistą ze stojącym kołnierzem, kontusz karmazynowy, spłowiwały, pas słucki nie pierwszój świeżości, a w ręku trzymał lekką białą rogatą czapeczkę.

Nie podniósł nań nawet oczów zajęty zbytecznie śniadaniem Szambelan, i jakby się po chodzie domyślił kto wszedł, mruknął tylko:

— Brata dobrodzieja! najniższy sługa! do nóg upadam! jedną ręką czekamy....

— Dziękuję Waści, panie Szambelanie; nie przyszedłem przeszkadzać, ale patrzeć tylko i cieszyć się, że starszy braciszek tak mi z apetytem łomocze....

Szambelan nie już nie odpowiedział, jadł zapalczywie; przybyły witał tymczasem ręką, głową i kilką słowami tych których zastał.

— Dzień dobry pani Hieronimowój!

— Do nóg upadam stryja.

— Jak się Waść masz Jaśku, czegoś kwaśny?

— Sługa stryja.... głowa mnie boli.

— A ty-żes zdrow? — spytał w końcu Rotmistrza.

— Ba! a cóż mam robić? — ze śmiechem dobrodusznym lecz smutnym odparł wojskowy.

Tymczasem Szambelan jadł i jadł; nagle zastanowił się, spojrzal na zegarek, i na nowo rozpoczął przekąski pozostałe; wreszcie otarł usta i w chwili gdy kładł widelec, drzwi z lewój strony otworzyły się szeroko, kamerdyner wszedł wołając:

— Na stole, Jaśnie Panie!

— Służę Pani! — rzekł gospodarz podając rękę pani Hieronimowój.

Za nimi poszedł polonus stary z panem Rotmistrzem, a na końcu cicho i nieznacznie wszrubował się ów pokorny Jasiek.

Sala jadalna do której weszli była bardzo obszerna i podobnie odziana w lamperye jak pierwsza, tylko te były białe pokostowane i gdzie niegdzie złoczone. Rzędem na ścianach wisiały obrazy czarne, Bóg wie co kiedyś wyobrażające, ale widocznie mające pretensję do flamandczyzny, bo gdzie niegdzie wizerła z nich ryba, cytryna, rądel świecący i t. p. W jednym końcu stał ogromny, wspaniały bufet, pełen sreber za szklannymi drzwiczkami; wyglądały z za nich puhary, kielichy i różna krasa stołowa dawnych kształtów. Między oknami uśmiechały się miłą zielonością pomarańczowe i cytrynowe drzewa.

Stół w pośrodku nakryty był na sześć osób, choć ich widzieliśmy dotąd tylko cztery, ale dwie już czekały w sali jadalnej. Pierwszą był w czamarze sutój, z wąsami, bakembardami do góry podczesanemi, szpakowaty trochę Rządzca, który miał fizys doskonale zgodną ze stanowiskiem jakic zajmował: — brzuch porządny, policzki lśniące zdrowiem, oczy wypukłe, usta rumiane, a mimo powagi i brzucha po-

korę przykładną, bo się skłonił za wejściem pana niemal do ziemi, tak że aż błysnął zarodkiem łysiny. Drugą była oparta niedbale o bulet kobiéta, nie zupełnie młoda, ale nie stara, wykwintnie ubrana, z pretensją widoczną do wdzięku, z zaciętymi usteczkami wązkiemi, biała, pachnąca woniami o miłą, w czarnych mitenkach, w czarnej sukni, z kluczykami u paska.

Twarz jój warta była spojrzenia i zastanowienia, tak piękne jój niegdyś rysy, dziś jeszcze dobrze zachowane, regularne i piękne, zeszpecił jakiś zimny, szyderczy wyraz zobojętnienia dla ludzi i wzgardy. Mogła mieć lat trzydzieści kilka, ale postawą i strojem do trzydziestu się nawet nie przyznawała; strój jój był wykwintny z prostotą i wyśmienicie dobrany do twarzy: na głowie rodzaj skromnego, ale świeżego czépeczka; suknia czarna jedwabna z podobną mantylką, u szyi tylko wstążka karmazynowa. Na kołnierzu, przy rękawach śnieżnej białości gładkie batystowe mankietki i krézki doskonale odbijały od rączek i karku. Pleć jój śnieżno-jasna, mogła być posądzoną o bielidło, ale bielidło wiedzie róż za sobą, a tu tak było oszczędnie na twarzy rumieńca, że

albo była wielką artystką, albo białą bez pomocy sztuki.

Szambelan wchodząc spojrzał zaraz na nią, i nieznacznie ją skinieniem przywitał; ona mu nie oddała ukłonu. Spuściła oczy prawie gniewne, porwała chustkę, którą upuściła przed chwilą, i wprost poszła na przeznaczone sobie miejsce.

Wszyscy przytomni rozmieścili się potem w następującym porządku: Szambelan na główném krześle w końcu stołu, przed którym nakrycie odznaczało się rznietą szklenicą i kilką karafkami różnych płynów, a osobnym przyborem przypraw.

Na prawo pani Hieronimowa, na lewo pan Samuel w szaraczkowej kapocie, za nim rotmistrz; za panią Hieronimową nieznajoma nam jeszcze pani z kluczami, za rotmistrzem Jasiek, a wprost naprzeciw gospodarza rządca pokornie się usadowił.

W milczeniu uroczystém zasiedli, a Szambelan, który nie rad mówił gdy jadł, a jadł wiele i chciwie, zwrócił się naprzód ku zupie, której zaczerpnął z małej wazki stojącej naprzeciw, dla wyłącznego jego użytku. Dla gości była inna polewka, przez grzeczność tylko poprosił ich na swoją, ale wszyscy odmó-

wili skiniciem, czego od razu był pewien. Jeden pan Samuel odezwał się:

— Wołę ja pocziwą naszą grochówkę z ogonkiem, niż te cudzoziemskiego autoramentu ekstrakty, do których Waść, panie Stanisławie, na dworze nieboszczyka Króla Jegomości przywykłeś.

Jakoż stary zajął się szczerze grochówką. Wszyscy głowy pospuszczali na talerze i jedli lub udawali jedzenie, a Szambelan, jakby policyę stołu utrzymując, z pod oka tylko spoglądał jak się to odbywało.

Z nim razem owa pani z kluczami szpiegować się zdawała każdego, niespokojném okiem wodząc po wszystkich i niedbale do ust nosząc z talerza wyięblą zupę.

— Dobry mój Karasiński, ozwał się po chwili gospodarz; ale nie ma i nie będzie pod słońcem jak Tremo.

Pan Samuel ruszył ramionami, reszta jak w wyrocznię patrzyła na mówiącego.

— Tremo, powiem Waści—rzekł obracając się do Samuela—miał to do siebie, że ci zgotował kaszę gręczaną, kluski z sérem, pierogi leniwe, jedno nic, czegobys indziej w gębę nie wziął, a po nim sobie palce oblizywać było trzeba. Wszyscy to wiedzą,

że król nieboszczyk lubił bardzo pieczeń baranią;— otóż jak żyję takiej baraniny jaką on urządzał nie jadłem—to było coś specjalnego.

— Może to nie była baranina, ale zamaskawana sarna? odważył się zarzucić pan Samuel.

Okiem pełném oburzenia cisnął nań brat starszy, a panna Aniela (to było imie nieznajomój) uśmiechnęła się złośliwie.

— Jak to nie była baranina! była baranina, ale z tą sztuką, z tym akcentem przyprawiona, które tylko Tremo posiadał. Waśc wiesz, że gdyby był chciał Tremo zostać w Petersburgu, byłiby mu zapłacili sowicie, ale on już dosyć miał gotowania, zachciało mu się jeść samemu.

Pani Hieronimowa rozśmiała się głośno, a panna z jakąś niecierpliwością, w którą ją wprowadzał zwykle cudzy dobry humor, poskoczyła na krzesło i rzuciła łyżkę z brzękiem.

Szambelan obejrzał się na sąsiadkę grzecznie, widząc jej uśmiech do serca mu przypadł,— i w dowód afektu posunął jej swoją zupę.

— Spróbuj pani, rzekł, a powiesz mi coś o tém (tłumaczenie z francuskiego)—spróbuj, ja już więcej jeść nie będę.

Nie godziłam się odmówić; wzięła na talerz zupy p. Hieronima i choć ją pieprzna owa polewka diabie piekła w podniebienie nie mogła się jój odchwalić, co chwila powtarzając: — Cudowne! rajske jedzenie, ale taka ze mnie parafianka, że mi niepodobna poznać co to jest.

Panna dusiła w sobie śmiech gniewliwy i wyraz pogardy. Szambelan podniósł głowę.

— Jakto? Asiódzka niepoznajesz?

— Bo jak żyję nie jadłam.

— A, to rzecz bardzo prosta: wątróbki cięjące rozgotowane, rozbite w bulionie, dodane do nich jarzyny wysadzone, pieprz prosty, tureckiego trochę, muszkatolowy kwiat i galka..... ale prawda że paradne i restaurujące??

— Przewyborne! — powtórzyła z uśmiechem sąsiadka.

Samuel ruszył ramionami bez ceremonii.

— Ja bez ogródki mówiąc wolę grochówkę, rzekł otwarcie, — po co mi tyle pieprzu; jest go i tak w użyciu dosyć.

— A panna Aniela, — spytał gospodarz, — nie sprobowałaby dzisiejszój mojej zupki; jest jój jeszcze na talerz.

— O! bardzo panu dziękuję — z urazą i oburzeniem, świszczącym nieco głosem odpowiedziała zagadniona — bardzo dziękuję.

Szambelan się uśmiechnął pod nosem, spojrział na nią znacząco, nie nagił.

— Cóż dziś — rzekł — humor nie różowy.

— Jak zawsze — oburknęła się i dowodząc, że bielidła nie używa panna Aniela.

— *Noli me tangere!* — cicho szepnął gospodarz.

— Proszę bardzo dać mi pokój.

— Właśnie to mówilem — Odwrócił się do Rządzczy.

— A co tam — rzekł do pana Bulwy — żytko się złoci, czerwienieje pszenica.....

Rządzca zagadniony, cały się podniósł na krzesło, chwycił za stół dla utrzymania równowagi i o mało nie udławił chlebem który miał w ustach.

— Tak, Jaśnie Panie — wykrztusił — wedle rozkazu.....

Było to jego przysłowie, na ten raz nie dość szczęśliwie użyte. Uśmiechnął się Szambelan, ale podawano sztukę mięsa i dla niej Rządzcę porzucił, który postawszy jeszcze chwilę, po cichu i ostrożnie usiadł.

Spojrzymy w tym przestanku milczenia na dwie prawie naprzeciw siebie siedzące osoby, Jaśka i pannę Anielę—oboje z ukosa mierzą się oczyma, tak urządzając, by nawzajem oczu swych niespotykali. Wzrok czarnych oczów panny Anieli pada na chłopca, śledczy, wzgardliwy, mściwy niemal; wejrzenie Jasia leci ku niej szybko, równie badające ale niespokojne. W pierwszym znać chęć zemsty i gniew stłumiony; w drugim widać obawę i pragnienie odgadnienia najtajniejszych myśli. Rotmistrz, nie mówi słowa, ję tylko ogromnie, i ani widzi co się w koło niego dzieje; pan Samuel z przyzwoitą aktowi posilku powagą, ale bez zajadłości pożywa zdrowo co Bóg dał; Aniela nic prawie nie bierze w usta, Jasiek udaje że ję, roztargniony; Hieronimowój biednój oczy na wierzch po zupie wychodzą i wodą popija tak ją pali, ale się biedna uśmiechia i stara dla wszystkich być miłą.

Kasztelanic zamierzoną porcyę zjadłszy, nalewa wino przyglądając się talerzom gości. Z jednój butelki nalał sobie, panu Samuelowi i zaproponował zatknąwszy ją już korkiem sąsiadce, ale ta usunęła kieliszek — drugą podał ku Rotmistrzowi Jasiowi i Rządzczy.

— Wiem, że panowie wolicie lekki maślacz nad wytrawniejsze wina—rzekł w sposobie objaśnienia.

— O! ja wolę, odparł ex-wojskowy, choć mina wcale tego niepotwierdzała.

— Naléjże go sobie — z uśmiechem rzekł gospodarz — Jaśka głowa boli, niech lepij nic nie pije. Pan Bulwa wiem że nieodmówi kieliszka.

Bulwa wstał, wyprostował się i uklonił bardzo nisko; usta jego już miały wybełkotać zwykłą Jaśnie Panu odpowiedź—wedle rozkazu — ale się pomiar- kował, że ją już raz dosyć nieszczęśliwie zastosował i wstrzymał się.

— A panna Aniela?—zapytał Kasztelanic.

— Ale proszę mi dać pokój! — syknęła straszliwie kobieta, cicho, szybko i z gniewem, obwijając się w swój płaszczyk i zasuwając w głąb krzesła, jakby się ukryć żądała.—Ja nic nie piję! Wszak nie pierwszy dzień jesteśmy z sobą — szczególną ma pan pasję dokuczać!

— A! pani nic nie pije! niech i tak będzie — prócz wody.....

Pan Samuel skosztował wina.

— A co?— spytał obracając się ku niemu Szambelan—prawda, że nie zgorsze?

— Wyborne, bez pochlebstwa!

— A, ba! spodziewam się! czterdzieści pięć lat na metryki w butelkach! — z uśmiechem, w którym trochę dumy przebijało się, — odpowiedział Szambelan.

Pani Hieronimowa odwróciła się w tój chwili do sąsiadki i z uśmiechem sobie zwykłym, chciała z nią począć rozmowę, lecz Aniela usunęła się umyślnie, i ani spojrzeć na nią nie chciała.

— Pani czy nie cierpiąca? — zapytała nieśmiało.

— W istocie — krótko pokaszłując i widocznie urywając rozmowę odparła panna.

— Taki bo dziś skwar, że i mnie głowa boli.

— Czy nie zaszkodziła pani zupa? — z ugryzkiem złośliwym, mierząc ją okiem, spytała panna Aniela.

— O! bynajmniej; czulam to usposobienie od rana. Rozmowa się przerwała.

Rotmistrz jadł ogromnie; Jaś udawał że jé, a patrzył na wszystkich niepostrzeżony z pod brwi. Pan Bulwa karmił się machinalnie, zamyślony głęboko i swobodnie, bo wiedział, że raz już będąc spytany, drugi raz przez pana zagadniony być nie może; widać było że wędrował z dumami gdzieś po łąkach i arendach rachując swoje dochody, oberchapki, po-

rękawiczne i podarki — twarz jego piętnowało wewnętrzne zadowolenie niczém niezatrute.

W ten sposób przeszedł obiad cały; panna Aniela nie raczyła się udobruchać do końca; parę razy jeszcze zaczepiał ją Kasztelaniec, aż nareszcie widząc, że coraz ostrzej mu odpowiada, odwrócił się do gości i dał jój pokój. Pan Samuel jadł dobrze, ale lepij jeszcze Rotmistrz, który i całą butelką piwa wysączył i chleb po trzykroć z talerza przybierał i talerze oddawał czyste jak zmyte.

Wstano od stołu;— u wyjścia ten sam zachowany był porządek jakim wszyscy weszli do sali, z tą tylko różnicą, że Rządzca wszedł razem za wszystkimi, a panna Aniela żywo zatrzasnawszy drzwiami, znikła.

W bawialnym pokoju na stole stała już kawa i likwory, ale do nich tylko dwa kieliszeczki, co widocznie zmartwić musiało Rotmistrza, który na stronie, po cichu, ale głęboko westchnął. Szambelan spojrzał na zegarek, kiwnął głową.

— Dwie minuty—rzekł jakby do siebie—jedliśmy dziś dłużej niż zwyczajnie; bekasy mnie widać zabawiły. Chybiam téj regularności, która jest podstawą zdrowia i utrzymania życia — potrzeba się poprawić, potrzeba poprawić!

To mówiąc nalewał kawę spiesźnie i podawał ją sam; minął Rotmistrza i Jasia, trzy tylko filiżaneczki napełnił i sam cukierniczkę starannie zarygłował. Po czém, wygodnie w krześle się usadowiwszy i spojrzawszy z uwagą na likwory, wybrał z nich Curacao.

— Pijesz Samuelu? spytał podnosząc butelkę.

— Ja! nie koniecznie.

— Napij się kiedy chcesz, to trawi—rzekł Szambelan. Rotmistrz po tém piwsku nie wart i ust umaczać w likworze.

— Ja bardzo dziękuję.

To mówiąc uklonił się Rotmistrz i jakby odbył już wszystko co do niego należało, aż do ostatniego upokorzenia likworowego, cicho wysunął się za drzwi.

Pan Samuel usiadł za stołem na kanapie, pani Hieronimowa chodzić poczęła przed oknami, a Bulwa stał jeszcze u drzwi, jakby na warcie, westchnieniami się tylko przypominając. Szambelan spojrział na niego.

— Bądź zdrow, rzekł, panie Bulwo!

Uklonem odpowiedziawszy na ten paszport, Rządca znikł co najchżyżej, bo to miało oznaczać, że więcej żadnej dziś nie będzie dyspozycji.

Jasiek przed chwilą już poczał się zajmować około warcabnicy, i widać było z tego jak ją układał, że to być musiała codzienna jego pańszczyzna, bo ani stuknął, ani brzęknął, ani się zastanowił, ustawiał rękami bez myśli, porządkując ją nadzwyczaj szybko i z widoczném staraniem, żeby uajmniejszego nie zrobić hałasu. Stoliczek stał już przed Szambelanem.

Rozparł się gospodarz, wychylił likwor powoli rozpoczął grę, nie nie mówiąc. Naprzeciw niego stojący Jasiek służył mu za partnera; — poprzedziło partyę spojrzenie na zegarek i kiwnienie głową znaczące.

— W inną grę już dziś nie gram — rzekł do pana Samuela powoli; — zbyt znacznie rozgorączkowują człowieka, a to w moim wieku nic potém; trzeba krew trzymać w karbach.

Ani słowa nikt już się nie odezwał, a pani Hieronimowa z Samuelem w kątku tylko z sobą szeptać poczęli.

Szambelan grał jak automat, Jaś jak dobrze wyuczona słów papuga, posuwał krążki cicho, śmiało i pewno. W oczach jego bujających tu i owdzie widać było, że nie myślał już o tém co robił. Wśród

głębokiej ciszy ścigały się po warcabnicy znaczki tajemnicze, przemijały, nikły. — Szambelan wygrywał z niejakiem zadowoleniem. Jaś znosił przegraną obojętnie, jak rzecz niechybną, jak przewidziany z góry skutek.

Szambelan nie mógł nie wygrać!

— A! dobra to sobie gra na poobiedzie — rzekł kończąc i szukając oczyma pana Samuela. — Jaś wcale dobrze gra — nawet bardzo dobrze, ale ze mną mu nie wygrać..... to darmo. Byłem w warcaby i w szachy..... ba! i w co innego, pierwszym graczem podobno na całą Warszawę.

Na te cicho pomruczane wyrazy nie było odpowiedzi żadnej. Jaś cofał się ku drzwiom i gdy od progu spojrział na Szambelana, on już usypiał z założonemi na żołądku rękoma, brodę na piersiach złożonywszy.


Choć nieco mu obiad okrasiał policzki, twarz jego z otwartemi we śnie ustami, stara, zużyta, zmarszczona, trupa przypominała, a we śnie nawet nie opuścił jej wyraz jakiś przykro i zimno szyderski.

Wszyscy powysuwali się na palcach. Jaś drzwi po cichutecznie przymknął.

II.

Wieczorem tegoż dnia, w skromnym pokoiku w oficynie przy starym dworze, któregośmy salon widzieli, siedziała mocno zamyślona przed podróżnym zwierciadelkiem, otłuczoném i polepioném, znajoma nam już pani Hieronimowa i machinalnie dość nie dbale zawijała papiloty, wcale nie myśląc podobno o włosach. Twarz jéj wyrażała głęboki smutek, zubożenie, strapienie, ciężar jakiś na sercu leżący. Oczy miała wlepione w otwarte okno, ale nic niemi nie widziała; ręce chwilami wstrzymywały się w robocie, to znów pełnione obudzoną myślą zwijały i rozwijały rozsypane włosy. Uśmiech zwykły jéj

ustom , teraz je opuścił , zapadły głęboko , czoło się zmarszczyło , może nawet jakiś łza mimowolna błyskała pod zwilżonemi powiekami , z pod których się dobyć nie mogło.

W koło niej wszystko okazywało , że była gościem w tym dworze : tłomok ubogi , odarty , stary towarzysz wielu niewygodnych podróży , walizka pozwiązana sznurkami , wyszarzana słomianka i woreczek z miny na zapas owsa wyglądający , rzucony w kątku , zdradzały , że tu przybyła z końmi , i zapewne nie na długo. Manatki były ubogie , szlacheckie ;  tłomok czerwony , pudółka stare , łóżeczko kołdrą perkalikową pokryte , szkatułka porozklejana i opadła z fornierów , a dziewczyna , która w téj chwili rozbierała panią , w spódniczce wiejskiej fabryki , w kuszym sieraku , w butach , z głową białą chuścina zawiniętą , nie była wcale po łaźną garderobianą , choć hoża , zdrowa , ładna , i z tą swobodą wyrzła na twarzy , która najlepiej dobrego pana dowodzi. Po chwili ce uszanowanego przez nią milczenia pani , dziewczyna pokręciła głowę z widocznym frasunkiem i przerwała ciszę umyślnym długim kaszlem.

Obudzona , z przestraczem obejrzała się pani Hieronimowa , wstrzęsła , i podnosząc oczy na Hapkę ,

milczeniem zdawała jęć wymawiać ten tak głośny i nie w porę kaszel.

— Długoż my tu tak jeszcze siedzieć będziemy? — spytała dziewczyna poufale a tęskno. — Już coś i pani po swojemu jak w Horoszkach zamyśla się bardzo i tuż za dziećmi i za Jegomością — czasby nam do prawdy ztąd; bo też to i.....

— A! albowi ci tu źle? na Boga! — z przestraczem, cichuteńko, oglądając się i zamykając okno szybko, spytała pani Hieronimowa. I przysiadła trochę opodał na łóżku, wzięwszy w ręce grubą i wymodloną książkę od nabożeństwa.

Hapka zbliżyła się na palcach i zniżając głos odezwała się, przyłożywszy jedną rękę do twarzy, spartą na łokciu drugiej, a głowę kręcąc wedle zwyczaju wieśniaczek kiedy się na co uskarżają. — Dwór to dwór, prawda wielki — ale nie to — to, co u nas.

— Zlituj się, cicho — wskazując na drzwi, coraz bardziej przerażona, i chwytając ją za świtkę, zaczęła pani Hieronimowa: — wszakże tu obok ktoś stoi..... jeszcze gotowi podsłuchać, donieść.....

Hapka podeszła bliżej jeszcze pani.

Inter. Tom I.

— Obok stoi pan kamerdyner — Terminiński.

— A! toż właśnie, najgorzej!

— Ale on teraz jeszcze u pana na służbie — pokój jego na klucz zamknięty — staremu panu słyszę podeszwy drapią..... bo inaczej zasnąć nie może.

I Hapka rozśmiała się w dłoń, ruszając ramionami.

— Ej! cichobyś była!

— Ale czegoż bo się pani tak obawia — któż nas posłyszysz?

— No, to mów kiedyś już tak uparta, ale wiem, że nawet nie masz mi co powiedzieć, aby tak paplać.

— Już to prawda, Jejmościuniu kochana, że tu, to i popaplać chce się, bo człek przez cały dzień gęby nie otworzy. — Kto tu ze mną zechce pogadać! Takie to wszystko dumne, pyszne a zuchwałe! Chodzą gdyby indyki napuszone, nikt i dobrego słowa nie da. U nas prawda dworek maleńki, ubogi, ale ludzie insi, oj! dalibóg insi! Tu jak w grobie smutno; każdy tylko siebie patrzy, aby co urwał, a na gościa jak na wilka, żeby ich nie odjadł. Żeby się kto choć na żart zapytał czyśmy co jedli..... czy nam czego nie braknie, czy czego nie potrzeba! Nasz Korniej z końmi rady sobie dać nie może, a przeklina na czém świat stoi. Zepchnęli nasze szkapę do

fornalskiej, czy tam do gościnnéj stajni; a to taka szopa, gdzie na konie leje deszcz gorzej niżeli na podwórzu — wózek stoi na dziedzińcu i moknie także; jeść w piekarni ledwie się doprosisz i to bez soli, bez omasty, jak dla wieprzów dadzą, a co naklną, a co napopychają!

— Ej Hapko! już téż gadasz Bóg wie co! ludzie tacy grzeczni, dwór taki zamożny.

— Grzeczni! ale! tam w pokoju może przy swoim panu; posłuchać co za drzwiami śmiechu i przezywania!.... Albo to się ten pan kamerdyner choć odkloni, kiedy mu pani daje dzień dobry..... a przecie on sługa jakby i ja, pani krewna jego starego.....

— E! zachciałaś tam na ludzi uważać — odpowiedziała pani Hieronimowa, której jednak rumieniec na twarz wystąpił i w oczach nowe łzy się zakręciły — westchnęła ciężko, ciężko — boleśnie. — Ot daj mi się pomodlić — rzekła po chwili ciszej, otwierając książkę i żywo biorąc się do modlitwy — sama byś także może spać poszła. Narzekać nie pomoże, prędzej zaszkodzi..... dajmy temu pokój, moja Hapciu!

Wtém zapukano do drzwi; Hapka cofnęła się ku ścianie, a pani Hieronimowa poprawiając żywo szlafrocza dosyć wytartego, zerwała się z łóżka.

— A można? odezwał się głos za drzwiami — światło widząc w oknie, chciałem dać dobranoc.....

Poznała drżącą kobiécina głos pana Samuela i podbieglszy, otworzyła mu sama, ubrawszy się w swój uśmiech zwyczajny, z uprzejmém: — Proszę, proszę, tylko mi stryj daruje, bom już w szlafroku.

— Dalabyś Asińdzka pokój ceremoniom; ja stary a krewny, ceregieli tych niepotrzebuję.

To mówiąc wszedł znany nam już pan Samuel, z fajką zagasłą na długim cybuchu, obejrzał się, zobaczył Hapkę i trochę zakłopotany przysiadł na podaném sobie starém krzeselku, naprzeciw pani Hieronimowej która sprzątnęła sama, uśmiechając się, w nieładzie leżące graty.

— Dla mnie wcześniej jeszcze — rzekł pan Samuel — nie mogę zasnąć długo, a Kasztelanic już nam dał dobranoc i poszedł do swego pokoju. Rotmistrz ruszył na polowanie, Jasiiek gdzieś zaszył się w kąt; nie ma do kogo i słowa przemówić, przyszedłem trochę pohzdurzyć z Asińdzką.

Obejrzał się na Hapkę, a pani Hieronimowa zmiarkowawszy, że ona tu zbytęzną być może, kiwnęła aby wyszła. Hapka trochę nie rada wysunęła się za drzwi, stuknąwszy niemi w dowód, że do tego nieprzywykła, żeby się jęj pozbywano.

Pan Samuel westchnął głębokę; — poważna twarz starego przybrała wyraz spokoju, smutku i zamyślenia, z którym jęj było najwdzięczniej. Ciężkie dumy widać mu się po głowie zwijały..... potrzebował je wypowiedzieć, uzalić się, westchnąć i nieśmiały rozpocząć.

— Nie miałaś Asińdzka wiadomości z domu? — spytał po krótkim milczeniu.

— A! nie! — ze łzą i uśmichem zwykłym, odparła spuszczaając oczy biedna kobięta; — strasznie dziś już o dzieci jestem niespokojna i o mojego pocziwego Hieronima.

— Niepokoić się znowu nięma tak dalece czego, rzekł Samuel — pan Hieronim zdrów zapewne, a i dziatki takęż..... Bóg sam czuwa, i strzeże ich mędlitwa Asińdzki.....

Pani Hieronimowa złożyła ręce, westchnęła tylko, a łza potoczyła się z jęj oczów.

— Już téż wkrótce i mnie tam do nich spieszyć potrzeba—szepnęła po cichu.

Pan Samuel jakby chciał coś powiedzieć, zawa-
hał się i obejrzał.

— Tak! tak!— rzekł zniżając głos — wszystkim
nam pono niéma tu czego dłużej popasać — to dar-
mo! to darmo!

Kobiéta żywo podniosła oczy i zadrżała; ten wy-
raz *darmo!* był dla niéj potwierdzeniem ciężkiej
prawdy, w którą jeszcze wierzyć nie chciała, z którą
się oswoić nie mogła.

— Czyż być może!—zawołała.

— Na co to mamy w bawełnę sobie obwijać, co
się nas tak zbliża tyce — odezwał się odstawiając
fajkę zagasła pan Samuel—my tu nic nie wskóramy.

— Jakto? nic—nic a nic! — z przestachem wy-
krzyknęła kobiéta.

— Nic! nic; posłuchaj Asińdzka, chyba nie znasz
tego człowieka i tych co go otaczają.

— A! ja nic nie znam, to pewna!

— I nic nie widzisz?

— Widzę nie wiele; nie rozumiem nic.

— Toś się nadaremnie łudziła — rzekł stary po-
ważnie — posłuchaj mnie i daruj jeśli cię z miłego,

pocieszającego może błędu wywiodę. A naprzód czego może i od pana Hieronima dowiedzieć się mogłaś, bo mu to ojciec mógł mówić — posłyszysz dokładniej i lepiej o Kasztelanicy..... Asińdzka tyle tylko podobno wiedziałaś, że bogaty, bezdzietny, że grzeczny i miły człowiek; przyśniło ci się więc szukać u niego protekcji i pomocy!

— O! tak! tak! mój stryju kochany — z przejęciem dodała kobieta — Waćpan Dobrodziej wiesz jakieśmy ubodzy: trzech chłopów na Polesiu, część w wiosce, nie bez dłużku jeszcze westchnęła, a dziatek czwórka! A to i żyć człowiek musi — i o tych drobnietach myśleć, żeby marnie nie poszły. Jakoś mi to przyszło do głowy, słysząc od mego Hieronima, który tu prawda nogą nigdy nie powstał sam — że stryj bogaty i milionowy..... Pojadę do niego, potrzebuje nas może, i nie tyle nas co dzieci, bo nam i tego kawałeczka chleba dosyć.....

— No! rozumiem, i Asińdzka przyjechałaś tu.....

— Tak i siedzę już miesiąc — i goszczę. Karmię i poją..... ale słówka rzec nie można o sobie..... Sam się stryj nie domyśla, choć wie zapewne, że mamy czworo dzieci, a tylko trzech chłopów.

— Mogłabyś Asińdzka i rok tu siedzieć; wygonić cię nie wygoni, ale tyle tego — dobrze otoczony i sam frant! Słowa powiedzieć nie dadzą, i grosza nie puści z ręki; nakarmi, napoi i grzecznością zbędzie — ot! po wszystkiém. To darmo! to darmo! — dodał stary. — Ja także nie od dziś tu siedzę z Rotmistrzem, a dotąd nie miałem czasu i zrzeczności powiedzieć, że dobrzeby zrobił, gdyby Rotmistrzowi gdzie w swoich dobrach, choć tymczasowy kawałek chleba obmyślił — liche choć podrzędne leśniczostwo jakie, póki co będzie. — Tać więc, że grosza przy duszy nie mamy; że ja resztkami i pensyjką Radziwiłłowską żyję, a Rotmistrz z mojej ręki..... Ale tu tak urządzono we dworze, by nikt ust nie otworzył, bo Kasztelanie nie nikomu uczynić nie chce i nie robi póki żyje. Godziny wyrachowane: przyjdziemy, zjemy pogada o pogodzie, i bywajcie zdrowi; a spyta go kto o co lub poprosi, uda że głuchy. Trzeba robić interesu przez pannę Anielę, przez Jaśka, przez Terminińskiego a to ciężka sprawa. Jasiak podobno najlepiej swoje interesa robi — téj zaś kłępie, zpozwoleniem Asińdzki, ręce całować lub prezenciki podsuwać dla jakichś faworów — obrzydliwa i nie dla nas. Ha! wola Boża! Jeszczeż nam tu siedzieć jak sobie chce, ale

Asińdźce co masz dom, gospodarstwo, dzieci — czas tracić — szkoda. Co ma nas kiedyś spotkać z niego, to nie mnie — jeśli notandum nie chapną bliższe osoby. — Niemasz tu czego siedzieć, niéma!

— Tak stryj mówisz — cicho i łzawo przerwała Hieronimowa — więc pojadę.

— Posłuchajże mnie Asińdźka, cierpliwie — rzekł Samuel. — Nie znacie bo widzę człowieka; z daleka, stryj bogacz milionowy — to jakoś tak się zdaje, że kiedy do niego — do starca bezdzietnego, co ma krocie dochodu — przyjedzie krewny, mający ledwie w co się odziać i czém nakarmić — powinienby mu pomódz! Ba! ależ tu potrzeba poznać z bliska człowieka, a dopiero się pokaże czego można się spodziewać. Wszak ci to rodzony mój brat i Kocham go jak brata, bo jest tam w nim może i dobre, ale go świat popsuł bardzo! Wiesz Asińdźka zapewne, że nieboszczyk ojciec nasz, Jan, który mieszkał w Poznańskim i trzymał się partyi Branickich i Sapieżyńskiej, przez wstawienie się Hetmana, otrzymał na starość jakąś tam kasztelanią..... Z ich też łaski miał ojciec dzierżawy, zastawy, a ożenił się dosyć majątnie z Palucką, która miała mu wnieść ze cztery kroć; ale tak się to wiodło rodzicom naszym, że ich

potém i z dzierżaw rugowali, i sekwestrowali i siła potracili, a ledwie nie z torbami wyszli i z gołym tytułem, który więcej ciężył niżeli grzał. Przenieśli się wreszcie na Ruś do dóbr Sapieżyńskich, gdzie ostatkiem wzięli zastawę. Ale i to nie lepiej bo zaocznie, a mieli z takimi plenipotentami do czynienia, co psu oczy sprzedali. Koniec końcem tedy wiedzieć potrzeba, ojcowizny i macierzystego nie wiele się nam dostało; wyszliśmy w świat Kasztelanic..... *a nic*, nic mościa pani w kieszeni. Pan Bóg lepiej pobłogosławił rodzicom w dzieciach niż w dostatkach, bo było nas pięciu synów i córka jedna, ogółem pół tuzina..... to nie żart!

Samuel westchnął.

— Wszyscyśmy Sapieżyńskimi względami poczęli się kierować na świecie, ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ; wkrótce żeśmy już im widać byli niezdadni, znudzili się nas popychać. Najstarszemu tylko Stanisławowi! ot! tutejszemu panu, inaczej poszło jak drugim. On dziś milionowy, a my wszyscy jak święci tureccy..... Tadeusza śpiewamy. Niechże ja—no! — wola Boża, — nie bardzom był skrzętny; ale nieboszczyk Józef, Antoni, ojciec twego męża, i Piotr, gdyby nie żona, wszystko to golizna.

— Jakże, proszę stryja, Kasztelanie się dorobił? — spytała kobieta.

— Tuż to sęk, że tego nikt nie wie — odparł pan Samuel — do dziś dnia tylko się domyślamy. On był po Helusi najstarszy z nas, pierwszy dorósł, urodził się bowiem w r. 1752., za Sasa. Protekcyja Sapieżyńska nie urwała się nam ze wszystkiem jeszcze; ojciec pojechał z nim do Kodnia, Księżna Wojewodzina kazała mu za sobą do Warszawy i w roku 1770., niespełna dwudziestoletniego przyjęto go, za jój wstawieniem się, do korpusu paziów Jego Królewskiej Mości. Stasiak tu był jak pączek w maśle, ale na nieszczęście całe życie paziem zostać było niepodobna; trzeba było szukać doli i losu na świecie. Dobrze położony u króla, znajomy z wielkimi panami, lubiony za swą wesołość i dowcip, których dziś ani słychu w tym starcu, chyba się odezwie żarcikiem bolesnym, co aż w pięty pójdzie. — Staś z paziów poszedł do wojska. Całe to inna była rzecz za owych czasów służyć: awanse szły łaską; fortragovali prawda generałowie czynni, ale często i bez tego patentu dawali na stopnie sami Hetmani. Wreszcie rangi się kupowały, a co się tyczy służby, ta się kończyła na noszeniu munduru brygady do której się

nałaziło i pobieraniu gaży, a po nią każdy dojechał sobie do chorągwi. Towarzysze, ba majorowie, kapitanowie, namiestnicy nawet siedzieli po folwarkach i hreczkę sieli, a zające tłukli co wlażło; nasz Staś wycierał swój mundur w Warszawie, po pańskich połojach.

Z młodu już to uważaliśmy, że pański chlebek biały mu smakował—stronił od swoich, od szlachty, a do panów się garnął, toż i potem; a że był postawny, po francusku szczebiotał, śmiały, przy tém wesół, dowcipny i w karty grał we wszystkie gry doskonale, wszędzie go przyjmowano chętnie. Więc pan Major w stolicy sobie hulał, wesoło czasu zacywając.

Myśmy go z oczów zgubili — przywiązał się do partyi dworskiej, do króla; buchnęła rewolucya; niebezpiecznie było siedzieć i Major pokręciwszy się koło zamku znikł nagle z Warszawy. Gdzie się podział, dokąd się udał—nikt nie wiedział. Głosiliśmy, szukali, pytali—jak w wodę.

Ja podówczas jakoś trzymałem dzierżawą wioskę na Wołyniu, leżącą na wielkim gościńcu między Ostrogiem a Zasławiem; i jużem był Stasia opłakał, — bo kawał czasu upłynął jak znikł bez wie-

ści..... a krajowe przygody wybiły nam z głowy rodzinę, i swoich kłopotów było dosyć.

Jednego wieczora, zawieruszystego, w zamieć okrutną, w śnieżnicę, jakoś po nowym roku, siedziałem u siebie w lichy dominie, — bo to było, jakem mówił, na dzierżawie, a wiadomo jakie to kletki zamieszkują posessorowie; — gdy ktoś wpada do mnie z karczmy z zapytaniem, czy jestem w domu, i z oznajmieniem, że jakiś wielki pan, karetą, dworno, dozwiaduje się o mnie, mając zapewne zamiar na noc do dworku zajechać.

Przelałem się dobrze, bo szlachcicowi w domu wielkiego gościa przyjmować, rzecz ciężka; pańskię gębie ani pańskim bokom dogodzić nie łatwo. Zwyczajnie jak to bywa u nas — kawał mięsa leżał w lodowni, ale przysmaków żadnych; a w chacie krom mojęj izby nieco cieplejszję, wiało jak na podwórzu. Diabłem się wziął za głowę — jednakże powiedzieć, że niema w domu, ani sposób. Klamać nigdy nie umiał; trochę tję szlacheckię dumy niedozwalało odepchnąć kogoś co o gościnyę prosił — więc stał się wola Twoja; czekałem drżący co Bóg zdarzy!

W kwadrans po owych zapowiedziach, światło zabłysło w oknach, szusnęła poczwórna karetą na

saniach, drugi powóz kryty, na ganku zrobił się szum i ja wychodzę przyodziawszy się, dostojnego powitać gościa. Widzę pięknego mężczyznę, w szubie sobolówój pokrytėj aksamitem zielonym, jak dziś pamiętam, w czapce sobolój, a za nim jejmościankę jakąś śliczną bestyę,—ale z oczów djabeł patrzył— wysiadających z karety. Ów Jegomość wita mnie zapytaniem:

— Panie Kasztelanicu, czy pozwolisz podróżnym przenocować u siebie?

Tytułu tego nikt mi w okolicy nie dawał, nikt nawet o nim nie wiedział, bo chudy pacholek, unikałem zakrwawiających serce wspomnień lepszego bytu rodziców;—zdumiałem się tedy, a w dodatku i głos, którego z razu rozpoznać nie mogłem, coś mi starego i dobrze znanego przypomniał—osłupiałem nie mogąc przyjść do siebie.

— A to był zapewne stryj Stanisław? — przerwała ciekawie słuchająca pani Hieronimowa.

— Zgadłaś Asiudźka jakbyś tam była; ale ja nie odrazum go poznał, zamaskowanego i przebranego za wielkiego pana; miałem go za umarłego — to pierwsze; powtóre, myślałem że jeśli żyje, to gdzieś jak my posagową biedę klepie. Nie przeszła mi z razu

przez głowę, żeby ten wielki pan, w sobolach i aksamitach, mógł być moim rodzeniuteńkim bratem.

— A też pani! to pewno panna Aniela?—spytała z uśmiechem kobiéta?

— Czekaj-no Asińdzka, przyjdziemy i do téj Jejmóścianki; takich Aniele nie dwie i nie trzy w życiu miał pan braciszek. Stoję tedy w ganku, zupełnie osłupiały, a przybyły wciąż mi powtarza:—Pozwolicie przenocować? — Z całego serca, proszę JW. Pana!—odpowiedziałem otwierając drzwi; ale chata uboga—czém ma, tém rada. Po tych słowach, weszliśmy do izdebki samotnej, której całą ozdobą był świecący się na kominku rażny ogień dębowy. Byłem już naówczas wdowcem po mojej Marysi, ojcem i ojcem tylko. Całe moje siły, mienie, myśli spłynęły w ojcostwo, w syna — a! niechciał Bóg pobłogosłać staraniu, nieposzczęścił; ale o tém potem, idźmy dalej.

Gdy blask padł na twarz gościa, 'gdyśmy się oko w oko w izbie zetknęli, krzyknąłem poznając brata, i rzuciłem mu się w objęcia. Uściskał mnie, ale jakoś zimno i ostrożnie. Ja cały drżący, nie wiedziałem co począć i jak ich przyjmować; on tymczasem tylko myślał gdzie się najwygodniej ze swoją du-

szyczką w mojej chatce pomieścić. Byłem w początku pewny, że to jego żona; że te sobole i karety po niej wziął; bo w prostocie ducha nie wyobrażałem sobie, żeby kto śmiał, z pozwoleniem, z jakąś tam paskudnicą włóczyć się tak, wstyd z czoła starłszy. Tytułuję ją tedy panią bratową; aż mnie zimno i sucho pan Stanisław wyprowadzi z błędu. Kochany Samuelku — rzekł na stronie, — to nie jest żona moja, jak ty sobie po szlachecku myślisz; jam nie żonaty, to śpiewaczka włoska z którą poznałem się w Dreźnie, i jadę z nią do Kijowa. Potrzebowała protekcyi nieboraczka, musiałem się nią zaopiekować; dasz jej izdebkę oddzielną. Kobięta w istocie była piękna bardzo, ale zakłopotana i jakby zawstydzona. kręcąc nosem na moją biedną chatę, która nie wiele była wygodniejszą od karczmy, zaraz sobie najlepszy pokój zabrała, i odprawiła nas do bokówki. Dom mi z kretesem wywrócili — wszystkiego im brakło; ludzie ich bez ceremonii, jak najeźdźnicy, precz wyrzucali rzeczy, łamali sprzęty, słowem jednem, sądny dzień u mnie. Ale jako gospodarz, gdyby mi i na głowie usiedli cierpieć musiałem, bo od czegoż gościnność; cóż dopiero gdy w domu brat rodzony?

Jakeśmy się zostali sam na sam, tu już pomyślałem, festyn dla mnie wielki, i aż ślinkę łykałem, żeby się prędzej dowiedzieć o losie Stanisława, którego tak długo, miał za umarłego, a on mi tu się zjawiał nagle takim bogaczem. Uściskałem go na nowo i nuż w pytania. Miał to do siebie Stanisław, że zawsze był nie bardzo łatwo się wywnętrzający, ale teraz gorszy jeszcze dyplomata; ani słowa dobyć z niego nie potrafiłem, choć go dobrze świdrowałem. Obracałem na wszystkie strony — ani ukąsić.

Ledwie się mógł dopytać, że uciekłszy z Warszawy, podróżował cały czas za granicą. Ale o czém? jak? z kąd przyszedł do tych dostatków? *motus* — wyraźnie powiedzieć nie chciał. Brałem go z początku dobrze na konfessaty, a nie nie wydusiwszy, dałem pokój, widząc, że to nie język uparty, ale głowa i serce. Jak gdyby nie nie było dziwnego w tém wszystkiém, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie, że piechotare drapnąwszy, kareta poszóstną i z kochanicą powracał, odpowiedział mi z wielkim tonem: — Byłem w Paryżu, w Londynie, w Karlsbad, w Eger — podróżowałem — i kwita! — Zniecierpliwiło mnie to jakoś w ostatku i dotarłem raz dobrze, zapytaniem.

— No ! ale zkądże Waści , panie Stanisławie te dostatki?

Uśmiechnął się tylko niechętnie. — Zkąd? — rzekł — już ciżem nie kradł , to 'pewna ; zapracowałem jak i drudzy , ale o to mnie nie pytajcie , bo nie powiem , bo o tém mówić nie lubię i nie chcę. Zresztą , to moja tajemnica.

Prawda że tajemnica , gdyż i dotąd jest to dla mnie zagadką.

— Jak to? i wy nie wiecie zkąd się to wszystko wzięło?

— Wiemy i nie wiemy ; domyślamy się tylko , że karty dać musiały jeżeli nie wszystko , to przynajmniej bardzo wiele. Zresztą , Bóg to wie jeden , bo mój brat nikomu nie odkrył się w tym względzie.

Nazajutrz rano , jak zimną wodą oblawszy mnie swoim milczeniem i osobliwą dyskretyą³ , przemocawwszy , zaciekawionego pożegnał i znowu się zapakowawszy do karety ze swoją panią duszką , jak przybył , tak pojechał. A co mi dom do góry nogami przewrócił , i Bóg zapłać niepowiedział — kwaśnym bonżurkiem zbył w ganku.

Zjawił mi się i znikł jak kamfora. Doszło potem moich uszów , że w Kijowie w złotej sali najpierwszą

grał rolę i uchodził za magnata z Poznańskiego, którego szatan gry opętał. Potém zasłyszałem o nim w Wilnie, dowiedziałem się, że wyjechał do stolicy; ale nigdy ani listem, ani słowem, ani dowodem pamięci nie odezwał się już do mnie.

Trochę mnie to bolało, ale i Helsia i reszta braci nie byli odemnie szczęśliwsi; zaparł się nas wszystkich, bojąc się zapewne byśmy mu nie byli ciężarem. Brat nasz Józef zjechał się z nim przypadkiem w Wilnie, dowiedział się o nim i poszedł do niego. Przyjął go jak gościa, grzecznie, pięknie, upoił, nakarmił — ale na tém koniec. Stosy złota leżały u niego na stołach; Józef był wówczas, jak całe życie zresztą, w wielkich obrotach; tysiąc dukatów byłoby go może z ruiny podźwignęły i postawiły na nogach — odezwał się śmiało do niego, wiecie co mu odpowiedział? — Mój bracie, gdybym familii chciał świadczyć, nie stałoby mi wkrótce z czego żyć — jest nas dosyć, byłoby niesprawiedliwością jednemu dać, drugiemu nie; muszę więc ograniczyć się przywiązaniem do was tylko, bo szczerze nic dla was teraz uczynić nie jestem w stanie, będąc sam na dorobku. Poczekajcie, jeśli co zbiorę, nie dla kogóż tylko dla was.

I tak go zbył. Lat temu kilkanaście jużem był mojego rotmistrza do wojska oddał — westchnął Samuel — widząc że do niczego innego się nie zda — aż słyszę znowu o panu Stanisławie.

Były wówczas na sprzedarz wielkie dobra na Wołyniu, a że o kupców było trudno, bo szlachta jakoś pieniędzy nie miała, a spędzającym nie frymarku się chciało tylko gotowizny, wystawiono je na kontraktach Kijowskich. Była to polubomirszczyzna, z rozległych dóbr téj rodziny, która je wzięła w rozbiórce ordynacyi Ostrogskiej; — dobra milionowe; słyszę nagle, że pan Stanisław te dobra prawie ksiązące targuje, aż i kupił. Oślupiałem, niewierzyłem zrazu; ale wkrótce przekonałem się o prawdzie, bo zaraz zjechał na wieś.

Jakem o nim posłyszał, naturalnie z attencyą do starszego brata; zastałem go już na nowém gospodarstwie, tak urządzonego niemal jak go Asińdzka dziś widzisz. Od téj pory nic się tu na włos nie odmieniło. Jak siadł na wsi, tak o pół minuty nie chybiając od swoich obyczajów, żyje już drugi lat dziesiątek. Niewiem czy przez te czasy obiad się kiedy dziesięć minut przypóźnił. — Ale diable się posunął... Ledwieem go poznał pierwszy raz zobaczyw-

szy, a od tego czasu jeszcze mimo regularnego życia, znówu zmiana wielka. Był to można powiedzieć piękny mężczyzna swego czasu — dziś mumia i dziwak niepospolity!

— No, ale serce? — spytała niespokojnie pani Hieronimowa: może się także zmieniło?

— Sercie? — rzekł pan Samuel — w tym człowieku wszystko dla mnie zagadką: serce, głowa, uczucia, myśli, życie, przeszłość i zamiary. Żyję z nim oto lat kilka, patrzę na niego od rana do wieczora, i nic go nie rozumiem.

— Ale jakże sądzicie?

— Najmniejszego sądu o nim wyrzec nie mogę, bo to dla mnie gorzej Sfinsa egipskiego, — dodał starzec.

— A z familią?

— Z familią — ciągnął dalej Samuel — grzeczny aż do zbytku, miły, ale dla niej zamknięty, jak opoka. Przyjmuje, karmi, poi, ale słowa o sobie powiedzieć nie da i nie dla nas nie robi.

— Wszakże wziął Jasia?

— A! i ślicznie mu tu biednemu Jasiowi! — odparł wzdychając pan Samuel; żebym ja był Józefem

(szczęście że nie żyje), gdyby mi miliony swoje oddawał, nie dalbym mu Jaśka za nic. Chłopiec to umęczony i zawczasu zepsuty, i zamiast wychować go, wyrobić z niego człowieka, dręczy, posługuje się nim tylko, trzyma go przy sobie na uwięzi, a co gorzej podobno w niwecz chłopca psuje....

— Ale mu to zapewne wynagrodzi?

— Tego nic nie wynagrodzi, gdy go na duszy zgubi—a i o zapisach jakichś tam Bóg jeden wie—nie bąknie nigdy słowa. Człowiek we wszystkiem niepojęty, skąpy aż do plugastwa, a pyszny, samolub niewysławiony, regularny jak zegar, jak lód zimny—wiary i serca jeszcze się w nim ni razu niedopytał.

— A! — ze zgrozą przerwała Hieronimowa — możecie też z żalu niesprawiedliwy względem niego i możecie się uprzedzili; niechciałabym wierzyć w tak-czarny obraz.

— Daj Boże? — z westchnieniem odpowiedział stary — by вина była moją nie jego; pokutowałbym za nią chętnie — ale nie! nie! nie myślę się ja nie mylę. Patrzę na niego od lat kilku, oczyma, sercem, bo chciałbym coś w nim odkryć, coś dobrego wynaleść, ale nic, nic! To zamknięcie się w sobie, ta tajemnica nie może nic dobrego rokować. Zresztą,

sam rodzaj życia, jaki prowadzi, co go otacza, dowodzi, że serca tam brak, że zimny i twardy jak opoka.

Pani Hieronimowej, której te słowa burzyły najdroższe nadzieje, łzy się potoczyły z powiek.

— O! nie płacze Asińdzka — rzekł stary z westchnieniem głębokim, które się jakby mimowolnie z piersi jego dobyło — to darmo! Jam się już wypłakał i zimno o tém mówię; ale i mnie w pierwszej chwili kosztowało to przekonanie smutne, wiele łez w głąb piersi spadłych. Wiesz Asińdzka, że nie miałem nad jednego syna; matka go odumarała dzieckiem, zostać musiałem mu matką, nianką, ojcem. Ukochałem to dziecko, jako ostatni, jedyny węzeł co mnie ze światem łączył, jako spuściznę po poczwój Maryi mojej. — On był moją przyszłością; chciałem z niego uczynić ideał człowieka. — Osiwiałem, zestarzałem, zubożałem, podupadłem — i patrz w co się moje obróciły nadzieje. — Znasz Asińdzka Rotmistrza; widziałś go — dobre stworzenie, serdecznie pocziwy, ale bez głowy nieboraczysko. To rozpacz moja; boję się bym za niego potępiony nie był, bo przeciwko Bogu bluźnię. Jednemu go miał i z tego nic mi Bóg zrobić nie dozwolił. Kiedym o razowym chlebie w moich dzierzawach wiek pędził

w niedostatku, hodowałem go wygodnie, pieśczo-
no, chuchałem na niego, nie żałując najdroższych
nauczycieli, najlepszych dozorców, stawiając go na ró-
wni z najbogatszymi. Wszystko to poszło marnie,
nic nie przyszło do niego.... dobre chłopię, dałby się
porąbać za mnie; ale patrz Asiudźka co on dziś mię-
dzy ludźmi? — zero, nul. Był w wojsku, wyszedł
z niego trochę się zaawanturowawszy; wisimy tu
oba czekając zmiłowania Bożego. Dla niego to, Bóg
widzi, nie dla siebie, potrzebowałem serca u Kaszte-
lanica, a chciałem je odgrzebać z pod popiołów. Bo
co ten nieszczęśliwy poradzi, jeśli się tak zostanie
sam na świecie? Głowy niema, słaby, bez rozgarnie-
nia, zwała się, zmarnuje, jak mnie przy nim nie sta-
nie. Chciałbym mu dać kogoś coby mnie zastąpił;
ale któraż porządna kobieta pójdzie za człowieka, ni
z piérza ni z mięsa, tyle tylko, że poczciwego ale nie-
zdatnego — i nie pokąznego? Dla niego to ja tu sie-
dę, bieduję, znoszę, czekam, patrzę, a nuż się zlitu-
je Kasztelanica. Ale widzę to! darmo!

Gdy to mówił stary, usłyszeli obok w pokoju ka-
merdynera Terminińskiego, klucz który zaskrzypiał
w zamku, a pani Hieronimowa z przestraciem palec
położyła na ustach.

— Nie wyjdiesz też Asiudźka przejść się trochę?
 — spytał stary wstając — tu coś parno, a jeszcze wcześniej; pochodzilibyśmy w około klombu w dziedzińcu..... ze mną starym nie ma niebezpieczeństwa po nocy spacerować.

Ze świstem i śpiewką głośnie wszedł pan kamerdyner do swojego mieszkania, właśnie gdy Samuel z panią Hieronimową uciekli dalszą rozmowę prowadzić w dziedzińcu.

— Niemasz tu Asiudźka czego czekać — rzekł Samuel obejrawszy się — siedzę ja tu lat kilka, a jeszcze mi słowa za Rotmistrzem rzec nie dał. Jakaś go widziała jednego dnia, tak będzie po wieki wieków. Chybabyś trafiła do niego przez Anielę, przez Terminińskiego.... ale to....

— O! odparła kobieta z uczuciem boleści i dumy.

— A i tak nie się nie wskóra prócz upokorzenia — mówił dalej Samuel. — Życzę więc ci i radzę, powracaj do domu. Co się tycze pana brata, niewątpliwie jest ogromnie bogaty, choć nikt nie wie dokładniej co on ma i gdzie. Lat około dwudziestu zbiera dochody; bo pomimo życia wygodnego, na które sobie nie żałuje, nie traci wszystkiego co ma. Co tylko wpłynie z intrat, ginie w jego kieszeni jak

w otchłani. Co on z tém robi i co myśli zrobić, Bóg to jeden wie. Jego faworyta, panna Aniela, nie wiele od niego ma; Terminiński także goły, wszystkich słyszę odsęła do testamentu i na potém..... Aniela i Terminiński zęby ostrzą: broń Boże czego na niego, potrzeba żeby tu ktoś z nas był, bo okradną. Cóż ma robić, choć Bóg widzi jak mi to ciężko tak na łasce wisić; ale dla przyszłości Rotmistrza muszę. Co tam kiedy będzie niewiem, ale to pewna, że wam krzywdy zrobić nie damy, byle to do rąk kiedy przyszło; tymczasem nie macie się czego spodziewać i wyglądać żadnej pomocy.

— A gdybyśmy go otwarcie, ze łzami, za działkami naszymi poprosili?

— Kiedyż to i jak? — z bolesnym uśmiechem spytał pan Samuel. — Asińdzka życia jego nie znasz; żaden zegarek tak nie idzie jak Kasztelanic. Jestto widać kalkulacya na długie życie. Wszystko u niego aż do słów, które wymówić ma i wysłuchać, doskonale naprzód obrachowane. Wstaje, zrana napije się czekolady, pod humor pobawi się z papugą; wytrą go, wymyją, wyperfumują, wyfryzują; panna Aniela wejdzie pogłaskać go pod brodę, Terminiński z plotką lub wesołym conceptem, i ranek tak za-

mkniętemu upływa cały, a gdyby pioruny biły, niko-
go tam niedopuszczą, żeby szkodliwego wpływu na
humor dnia czasem wrażenie jakie niespodziane nie
wywarło. Wchodzą tylko swoi i to na głos dzwon-
ka, lub o swojej porze. Na godzinę lub więcej przed
wyjściem do salonu, Kasztelanie zamyka się w swo-
im pokoju, do którego nikt, ale co się zowie nikt nie
bywa przypuszczany. Pokój to jak on tajemniczy,
od którego klucz nosi zawsze przy sobie, gdzie nikt
nie sprząta, gdzie Anieli i Terminiowskiemu zajrzeć nie
wolno, bo nim go otworzy wszystkich odprawia.
Supponitur że tam pieniądze składa — czy kto go tam
wie co robi. Potem, jak Asiudźka już wiesz, obiad
wyrachowany na minuty, potem sen — także nie
dłuższy nad piętnaście minut; powraca do siebie.....
Spocząwszy, wychodzi do Bulwy, którego unosił jak
ptaka. Bulwa zdaje mu raporta gospodarskie, pie-
niądze wnosi, pokazuje rachunki; rozmawia z nim
krótko, dysponuje mało, gderze ogromnie i znów na
kawę do salonu, gdzie bawi do wieczery i po wie-
czerzy chwilę. Jeśli nas jest kilkoro, wszyscyśmy
obowiązani dotrzymywać mu placu w salonie, pod
karą gniewu; on gawędzi trochę, albo raczej słucha
co gadają, bo sam się nie bardzo wygaduje i uśmie-

cha tylko; sprzeciwić mu się nie wolno! — Jeśli sam na sam z Jasiem, każe mu sobie czytać jakieś obrzydliwości i — gubi chłopca, w którym to naturalnie fermentuje. Pół do dziewiątej powraca do siebie, rozbierają go, flanelują, kąpią, w łóżko kładną, pod podeszwy łechcą, a panna Aniela siada przy nim popufalutko na łóżku i siedzi dopóki dobranoc jój nie powieć... Ot cały dzień. *Ab uno disce omnes*, chciałem powiedzieć, ale Asińdzka nie rozumiesz tego; dość że tak zawsze.

— Jakto? a niedziela, a święta? a goście?

— Gości tylko na obiad lub wieczorem przyjmuję, ale dla nich trybu życia nie zmienia. My ich bawimy za niego; o niedzieli i o świętach niewieć, bo i powszedniego dnia pacierza nie mówi, a o Panu Bogu widać zapomniał nieszczęśliwy ze wszystkién.

Pani Hieronimowa zawołała z przerażeniem:

— A! cóżto za nieszczęśliwy człowiek? — a cóż go trzyma na świecie?

— Brzuch, mościa dobrodziejko — odparł gorzko pan Samuel. — Kat wie co zresztą; może pieniądze, które tak lubi, może panna Aniela, którą niby kocha.... ale to kochanie.

— Któż to jest ta panna Aniela? kiedy wolno zapytać?

— Niewiele o niej powiem Asiudźce, bo i wiem nie wiele. To pewna, że ją usłużny Terminiński gdzieś uła swojego pana odgrzebał i ze swojej ręki tu osadził, i oboje na jeden grosz targują. Terminiński kuta bestya: na około go otacza swojemi figurami i zabiega skrzętnie, żeby nikogo obcego niedopuścić do ucha i laski, co zresztą nie przychodzi mu trudno, bo do Kasztelanica i dostąpić dziś niepodobna. Aniela, jak słyszałem, rodem jest tu z jakiegoś małego miasteczka, córka ubogich mieszczan; miała w młodości kochanka, który ją na koszu osadził, a tu ją przywieźli dla zabawy starego, któremu się jeszcze zdaje, że blisko dziewięćdziesiąt letni, jak dawniej kochanki potrzebuje. Aniela, kobieta nadzwyczaj sprytna, ale tak zimna, wyrachowana i niedocieczona jak mój pan brat. Załedwie tu weszła, wykrzesła się sama, nastroiła do tonu domu, poznała tych co ją otaczają, przewąchała i domyśliła się wszystkiego tak, że sam już Terminiński musi się na nią oglądać, jak uważam. Jedna to szajka teraz. Widocznie godzi na to, żeby się z nią Kasztelaniec ożenił, ale co z tego, to pewien jestem, że nic nie będzie.

— Ale cóż mi stryj dobrodziej mówisz; to okropny dom, to straszni ludzie! — Ten biedny Kasztela-

nie, do kogoż przywiązany, kogo kocha? — Co go na świecie trzyma? boć przecie tak żyć nie można samemu sobą i dla siebie? — spytała znów naiwnie pani Hieronimowa, nie mogąc pojąć życia bez przywiązania.

Pan Samuel się uśmiechnął.

— To najdziwniejsza, że w całym swoim życiu Kasztelanic podobno nikogo nie kochał i nikomu się ująć nie dał. Ci co go otaczają myślą że nim rządzą; on w istocie działa niemi i posługuje się jak chce; rachują i w rachubach się myślą; nieraz na jego mniemaną słabość stawiają łapki, ale jak zręczna myszka, Kasztelanic wyjada słoninkę, a przycisnąć się nie da. Terminiński, panna Aniela, Jasiek, ci co go są najbliżej, których najwięcej potrzebuje, zdaje mi się, że nic nad nim nie mogą; on ich zwodzi, nie oni jego. Szpieguje jednych drugimi; gdy proszą o co, odkłada do jutra, lub zręcznie się wywija, wreszcie gdy go przyprą, odstrasza gniew udając..... bo i to udaje! Takiego człowieka anim znał, anim widział! anim się domyślał — jestto dla mnie zdumiewające *monstrum!*

— A! na Boga! stryju, ciszej!

— Nikt nas tu nie posłyszysz; zresztą, gdyby nie interesa Rotmistrza, gdyby nie to nieszczęśliwe dziecko, powiedziałbym mu to dawno w oczy i nie popasał długo.... — dodał pan Samuel z głębokim westchnieniem. — Ale czego się to dla ukochanego a biednego dziecka nie robi!

— A! to prawda! to prawda! — z silnie wyrażonem w głosie łzawym uczuciem, przerwała kobieta. Samuel mówił dalej:

— Całej naszej rodzinie należałoby się tu narażać, co począć, i dlatego to z Asiudzką mówię, że potrzeba nam o sobie pomyśleć. Kasztelaniec żyje jak młokos (choć ostrożnie i rachunkowo), ale ma lat pod dziewięćdziesiąt! Iada moment koniec sobie może jaką niestrawnością przyspieszyć. Otaczają go chciwi, intryganci, po prostu złodzieje czyhający na dobro nasze. Jaś nawet choć nasz, boję się bardzo by się tu nie zepsuł i zamiast pracować dla rodziny, nie pracował z niemi lub sam dla siebie. Bóg wie co z tego wszystkiego wywiązać się może. Myśmy licznem rodzeństwem, wszyscy prawie ubodzy; te miliony Kasztelanica mogą być dla nas darem Opatrzności; potrzeba myśleć, by się darmo w niegodne i niewłaściwe ręce nie dostały. W téj myśli i ja tu

choć z bólem serca i jak na pokucie siedzę... ale cóż ja sam poradzę! Z dniem każdym lepiej widzę, że tu kogoś sprytniejszego potrzeba na Kasztelanica, na jego Anielę i Termińskiego i dla dozoru nad Jaśkiem. Ani ja, ani Rotmistrz na szpiegów i stróżów nie zdamy się; uchowaj Boże czego, wszystko mogą zabrać obcy—bo i testament gotowi podrobić i pieniądze skraść, i Bóg wie tam jeszcze co! mnie i zgadnąć nie podobna!

Pani Hieronimowa, dla której te zwierzenia pana Samuela odkrywały rzeczy wcale niespodziane i nowe, za każdym słowem bardziej ślupiała i mieszała się. Biedna, poczciwa i prosta kobieta, nie widziała sposobu wyjścia z tego labiryntu, którego ciemne głębie odkrywały się przed jej oczyma; głowa jej się zwracała.

— Cóż więc pocniemy? — szepnęła stojąc po długiej chwili milczenia.

— Tu, powtarzam — rzekł pan Samuel — potrzeba kogoś sprytniejszego odemnie — ja jestem prosty człowiek, stary, złamany; choćbym co widział nie zaradzę temu, bom zgryziony, znużony i z sił opadły.

— No — a Jasiek?

— Jasiak! boję się, ale mi się zdaje, że jemu już nie wierzyć nie będzie można.... On także podobno rachuje dla siebie na testament stryja.... Kto wie! na podchwycenie może użyć wszystkiego. Dzieciak ten nie mógł tak bezkarnie ocierać się długo o zepsucie, zagnił leżąc przy zgniliźnie!

— Tak młody, tak zdaje się skromny, potulny, bojaźliwy!

— Cicha woda! cicha woda! — odparł pan Samuel. — Ale uważałaś pani, jak oni z panną Anielą oczyma ku sobie strzelają, coś jak gdyby się sklócili — bo byli podobno lepiej wprzód! Ze stryjem Jaś podobno umie sobie począć — i co za dziw! niewola, ucisk, nauczyły go kłamstwa; złe książki zasiały w nim namiętności gwałtowne; w jego twarzy, spojrzeniu, postawie znać ognie co pod tym zimnym popiołem są skryte. — Namiętności, którymi stryj dogadza sobie, nie oglądając się na Boga i ludzi, musiały i w nim powoli się rozruszać — a namiętności bez wiary daleko zaprowadzić mogą. Jeżeli ich tu tak samych zostawimy, tę nie pocziwą trójkę, kto wie, czy nie przyjdzie wcześniej z nadziejami sukcesyi się pożegnać.... Stary będzie ich zwodzić, ale oni nas zwiodą, gdy oczy zamknie.

— Ale na to ja nie widzę rady! — zawolała pani Hieronimowa.

— Jest, jest, ale jój ani ja, ani pani nie damy; powtarzam Asińdźce, tu potrzeba kogoś sprytniejszego, żeby się poświęcił dla całej rodziny, przyjechał nieznacznie, powoli się zasiedział i miał oko pilne na to, co się gotuje. Stary ma miliony, to pewna; skąpy nadzwyczajnie, grosz co do niego wpły- nie nie wypływa od niego, najulubieńszym swoim nic nie daje, uwodząc ich testamentem i jutrem. Nas jest dużo co do tego spadku mamy prawo, ale wszyscybyśmy się zasilć mogli, gdyby tylko marnie nie poszedł.—Tak mówił pan Samuel, przerwał i dodał żywiój:

— Zresztą, mnie byle tylko Rotmistrza wyposażć i ożenić, ja dla siebie złamanego szeląga nie żądam; jego mi żal, bo się to zmarnuje, dobre, pocziwe dziecko—cóż gdy głowy żadnej! Waćpani masz także czworo dziątek; radźmy wspólnie.

— Mogęż ja kobiéta poradzić co na to — odezwala się pani Hieronimowa, z bojaźnią, z uśmiechem smutnym i ze łzami. — Jam nie znalazła dotąd Kasztelanica, wyobrażałam go sobie wcale inaczej. i ani mi w myśli powstało, żeby tu tak ciężko było

wyżebrać pomoc dla bliźnich a ubogich krewnych. Jam prosta kobieta, matka, żona, wieśniaczka i przyznam się stryjowi, że w takich intryg płataninie rad bym sobie nie dała, nawet gdyby szło o dziecko moje. Cóż tu poradzić? co na to robić? mówić nie można, prosić daremnie, reflektować próżno. Po mojemu, po kobiecemu, niechby się kto pocziwy znalazł coby Kasztelanica nawrócił, opamiętał, odwiódł od tego życia, a wszystkoby potem poszło jak z płatka.

Pan Samuel z cicha rozśmiał się na całe gardło.

— Wyśmienitaś Asińdzka! nawrócić i upamiętać starego grzesznika co w Boga niewierzy, co duszy w sobie nie czuje i w dziewięćdziesiątym roku życia, nad grobem prawie stojąc, zakamieniały, prowadzi życie jakie ledwie młodość by mogła wytłómaczyć! Nawrócić jego! zalogowanego, zatwardziałego i nieprzystępnego jak on! To tylko Asińdzka pomyśleć mogłaś!

— A cóż tu począć innego? — spytała kobieta śmiechem tym nie zmieszana.

— Serce co się nieobudziło przez lat dziewięćdziesiąt, nieckoćnie się już dziś, gdy ledwie w nim bije; nie jego ratować, ale siebie winniśmy. Jest nas

liczna rodzina, trzeba się zebrać, naradzić, ale z sercem i z głową. Bo ja, powtarzam Asińdzce, rady tu nie dam sam; Rotmistrz zdałby się tylko do wybitój, gdyby potrzeba, Jasiek o sobie tylko myśli. — Posłuchajże mnie Asińdzka uważnie, bo pora i bardzo żebyśmy coś postanowili i zrobili. Jest nas dasyć: dzieci Heleny; (Józefa mijam), Antoniego, Piotra; żyją Antoni i Piotr; wreszcze mąż twój Hieronim i brat jego Paweł.

— O! mój mąż — przerwała kobieta — to prosty sobie gospodarz, jak ja prosty człowiek, on się nie przyda do takiej sprawy.

— Ale słuchajże mnie Asińdzka; zbierzcie się, naradźcie i wykomenderujcie tu kogo macie najsprytniejszego. — O nas to wszystkich chodzi; kochajmy się i za ręce się weźmy a myślimy o sobie.

— Zapewne, stryj to lepiej wiész — dobrzeby to było, stryju kochany; ale ja nikogo nie widzę....

— Musi się ktoś przecie znaleźć. — Ja nie wszystkich tak blisko znam, bom tu wspólnego dobra pilnując, zasiedział się od lat kilku, ale.... może pan Paweł?

— Pan Paweł? — nie wiem! — cicho odpowiedziała Hieronimowa.

— Może który z synów Helusi?

— Mało ich znam.

— Tu potrzeba kogoś, nie młokosa, co by dobrze świat znał, ludzi umiał cenić, odkryć myśl nim się urodzi, zapobiedz gdyby się spełniać miała — czynnego, gorącego, nie tchórza, a przytém co by się umiał Kasztelaniciowi podobać!

— A! o to wszystko będzie trudno!

— Tak! to ja wiem że trudno, ale przecie nie jest niepodobieństwo — odparł pan Samuel — na-przód, że Kasztelanie wszystkich jednakowo traktuje, dla wszystkich równo grzeczny i nikomu nie pokaze co myśli; powtóre, że oprócz kuchni wszystko mu podobno obojętne na świecie. Ale jednak człowiek żywy, śmiały, dowcipny, zręczny, co by go czasem potrafił rozruszać, zabawić, co by się stał potrzebnym, a któryby w tych zamurowanych kwaśnych twarzach dworaków czytał — na wieleby się przydał. A więc, powracaj pani jutro do domu, opowiedz mężowi co się tu dzieje; zwołajcie po cichu familię, wybierzcie tego posła i dawajcie go tu na moje ręce. Ja go tu popelnę i sam odpocznę — spokojniejszy. Wszystkich w tém sprawa, wszyscy radźcie razem — a nie, to się przyjdzie pożegnać jeśli nie z całym dziedzi-

ctwem, to ze znaczną jego częścią — bo niechybnie nam je z przed nosa pochwycą.

— A niemogłabym jutro słówka, cichego słówka za sobą powiedzieć, nim odjadę? spróbować tylko? — spytała pani Hieronimowa bojaźliwie, nieumiejąc się wyrzec myśli wsparcia dla biednych swych dzieci.

— Spróbuj sobie Asińdzka, kiedy chcesz i masz odwagę.... ale ja nic ci dobrego nie przepowiadam. Czekać musimy; za życia nam nie nie da, a i po śmierci, to jeszcze widlami pisano? O! gdyby Rotmistrz miał w głowie olój, albo ja w kieszeni pieniędzy trochę, nigdybym tu nie wisiał, bo i patrzeć na tę Sodomę nie wesolo.

— A tymczasem — dobranoc — dodał pan Samuel — już podobno dobrze późno; nie czekaj Asińdzka darmo, jedź jutro, a chcesz przed odjazdem spróbować szczęścia, wola twoja! spróbuj!

III.

Nazajutrz rano obudził się Kasztelanie jak zwykle w bardzo kwaśnym humorze; był li to smutek wieku, czy ciężkiej strawności i wylewania się żółci, niewiem; zużyty starzec zawsze dźwigał się z łóżka posępny, gniewny, i potrzebował żeby go otaczający niejako wciągnęli w życie, rozbudzili do niego powolnie, rozchmurzyli. Może tam we śnie odzywało się sumienie, czy mówiły wspomnienia jakie; to pewna, że w pierwszych rannych godzinach nikt z najpoufalszych i najlepiej z nim zażyłych nieprzystępował do niego bez trwogi. Najprzywykleszy Terminiński, z wysiłkiem, zbierając się na odwagę

i wytrwałość, wsuwał się do pokoju, w którym stażec z zaciśnionemi usty, obwisłą brwią, żółty, drżący, pokaszlujący, rozgorączkowany, czekał na ludzi, by na nich uzbieraną we śnie wylać gorycz wewnętrzną.

Pierwsze jego pytania, pierwsze odpowiedzi, były zawsze cyniczno-szyderskie, nie litościwie smagające. przejęte najokropniejszym rozczarowaniem — nigdy jeszcze nie obudził się z słowem dobroci, z uśmiechem łagodności na ustach.

Termiński, na odgłos dzwonka, wszedł do pokoju sypialnego Kasztelanica. — Pokój ten dosyć wielki, z łóżem obszerném mahoniowém, osłoniętém firankami, z kominem, na którym stał zegar marmurem, brązem i świecidlami ozdobny, miał dwoje drzwi widocznych, a trzecie w szafie ukryte, które przez wązkie korytarzyk wiodły do apartamentu panny Anieli. — U okna grubój materyi firanką w części zasłoniętego, stała gotowalnia, bogata w najrozmaitsze przybory i kosmetyki, mydła, wonie, narzędzia toaletowe, flaszki i puszki, noszące na sobie cechy nie dzisiejszego ale wytwornego smaku.

Wszystko to było kosztowne, piękne, drogie, ale nie razem kupione i nie nowe; pochodzić mogło

z końca XVIII., a z początku XIX. wieku, gdy mitologia jeszcze i greckie wzory wszystko piętnowały często najnieszcześniejszym naśladownictwem.

Dywany równie piękne, ale stare, wyściełały podłogę wieńcami zróz i amorków. Zresztą, nie tu tak dalece nie było dla oka i ozdoby samej, a na wytarzonych sprzętach widoczna była, przy troskliwości o wygodzie, oszczędność posunięta do skąpstwa. Trochę zszarżany dywan w nogach łóżka załatany był prostym krajczakiem.

Na rozsunioném z firanek łożu siedział starzec, przygarbiony, w białym czépku żółtą wstążką związanym, w kaftaniku trykotowym i podobnych spodniach—siedział, dyszał i na drzwi spoglądał, oczekując przyjscia Terminińskiego, który się widać na daną sekundę nie zjawił, bo brzmienie dzwonka, nie powinno było uciechnąć a sługa już musiał być we drzwiach.

Terminiński bardzo postawny mężczyzna, pięknego wzrostu, przystojnej twarzy, rysy miał jednak tak nie wybitne, tak pospolite, że gdyby nie usta co im jakiś nadawały charakter, nicby na téj masce nieruchomej, gipsowej wyczytać nie można. Była to księga zamknięta — namiętność, myśl, życie nie wycisnęły

się na karcie jęj białej, martwej, nieruchomej a strasznej tajemnicą, którą kryła. Tylko w ustach zaciętych i ściśnionych a niekiedy drżących, znać było człowieka silnej woli, który wszystko z siebie robi co zechce, człowieka co jednej myśli, jednej jakiegś nadziei poświęcił się i życie za nie dać gotów. — Te usta jedno czasem żyć się zdawały: śmiały się nieco, łagodniały w potrzebie, wyrażały dumę i pewność siebie i jak w lalce, której część się porusza, gdy reszta nieruchomą zostaje, te oczy, czoło, postawa, grze warg nie wtorując wcale, zdawały się z kamienia wykute. Wzrok był zimny, niemy, milczący, szklanny; pięknie zbudowany, bardzo dobrze ułożony, Terminiński był co się zowie przystojnym mężczyzną, ale już podstarzał i zbladł w ciężkiej pracy — resztki tylko pięknej twarzy i gibkiej, zręcznej postawy mu zostały. Ubiór jego był czysty i prawie wykwinny.

— Ha! — zakaszlał stary — ha! już się coś pan Terminiński opuszcza — dzwonię, dzwonię — darmo!

— Na pierwszy odgłos.... byłem gotów.

— Proszę mi nie przeczyć! — gwałtowniej rzekł Szambelan — szlafrok. — Terminiński już stał z szlafrokiem, który starzec wdział powoli i usiadł w bliskim

fotelu. Spojrzał w okno, ranek był pochmurny, ziewnął.

— Każe pan okno otworzyć?

— Proszę czekać rozkazu — miej WPan cierpliwość kiedyś sługą.

Lokaj cofnął się i w tył założywszy ręce, stanął pokornie za krzesłem.

Kasztelaniec spojrział na zegarek.

— Czekolada — rzekł kaszląc.

Drzwi w szafie utajone otworzyły się i Terminiński wysunął się niemi: stary sam pozostał, obejrzał się po pokoju, ciężko okiem zatoczył, szydersko się do siebie uśmiechnął jakoś i zadumał zmiąwszy usta zbladłe.

Ale nim duma jego miała czas przejść w osłupienie, zwykle ludziom starym i zużytym, wrząca i szumem pokryta czekolada ukazała się z Terminińskim we drzwiach pokoju; stoliczek wykładany mozaiką zatoczył się przed niego i biała serweta opadła na kolana.

Po pierwszych łyżeczkach wrzącego napoju, gdy życie podsycone na policzki krwią wytrysło i rozjaśniło zbieleńskie oczy, Terminiński, wiedząc że mu już można bez niebezpieczeństwa się odezwać, rozpoczął rozmowę.

- Bulwa pojechał do Wrotkowa....
- Kraść?— spytał Szambelan zimno.
- Pilnuje go tam Rachmistrz.
- A Rachmistrza kto?
- Ja.
- A Waćpana? — dodał Kasztelanic sucho.
- Mnie, Jaśnie Panie, sumienie.
- A a a! sumienie! sumienie! — szydersko, pozwoli powtórzył pan. — Cóż tam Jaś? — spytał po chwili.
- Pan Jan dziś coś długo spał, bo wczoraj długo po ogrodzie się przechadzał, a potem czytał jeszcze....
- Co? pewnie odkradzioną u mnie książkę? — rzekł uśmiechając się stary....—o! łajdak!
- Niewiem co czytał.
- Kształci się z przekąsem rzekł stary, stawiając filiżankę i ocierając usta. — Jakże tam zdrowie panny Anieli?
- Niewidziałem jej.
- Humor czy lepszy jak wczoraj?
- Wątpię, ma ona swoje zmartwienia.
- Zmartwienia te są dla mnie tylko, nie dla niej— odparł sucho Kasztelanic; — wywozi je na targ

daremnie, ja za to nie zapłacę. Ja to dawno znam: więcj u mnie dobrym humorem i wesolą twarzą zyskać można.

Terminiński zagryzł usta.

— A co tam nowego?

— Pani Hieronimowa chce wyjeżdżać.

— A! już! no, to kazać zaprzęgać!—śmiejąc rzekł Kasztelanic. — Nudzi mnie baba ze swoim słodkim uśmieszkiem piętnastoletnim.... to anachronizm.

— Nie wiem co to jest, że tak się nagle wybrała — rzekł Terminiński — ale posądzam pana Samuela, że to jęj poradzić musiał. Zdaje się, że daleko dluzj zabawic myślała, choć ludzie jęj psykali od dawna.... ale wczoraj dlugo z sobą wieczorem się naradzali, szeptali, rozprawiali chodząc po dziedzińcu, zapewne żeby ich kto nie podsłuchał.... i dziś poczęła się wybierać.

Kasztelanic z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie.

— Prosiła mnie czyby niemogła wcześnięj Jaśnie Pana pożegnać.

— Waćpanu przecie wiész, że ja do obiadu niejestem widzialnym dla nikogo.

— To téż odpowiedziałem jéj, że to być nie może, ale wyjechać bez pożegnania nie radziłem.

— Na to nadto grzeczna i parafianka biedaczka, rzekł Kasztelanic.

— A pan Rotmistrz, spytał po chwili.

— Rotmistrz jeszcze nie powrócił z polowania.

— Nie upoluje sobie gdzie rozumu? — rzekł nawiasowo gospodarz.

Terminiński rozśmiał się tylko. — Czekolada była skończona, do ubierania zawczasie; spojrział na zegarek i wyszedł.

Jego wyjście było znakiem dla panny Anieli, że czas się jéj ukazać, ale minutę całą spóźniła się, i nie bez celu.

Nim się ona ukaże, powiedzmy słowo o téj tak ważnej w domu Szambelanica postaci. Wiemy już że panna Aniela była córką mieszczanina z pobliskiego miasteczka, ubogich rodziców dzieckiem, której Bóg nie dał innego posagu nad ładną twarzyczkę i niepospolicie obdarzoną główkę. Rodzice nie pocieszyli się jéj losem, bo ją kilkonastoletnią przy wstępie na świat odumarli. Została przy staréj ciotuni, kobięcie jak szatan złój i jak szatan przebiegły, intrygantce, której talent spelzł napróżno w malém

miasteczku. Cheiwa, złośliwa, przewrotna, pożerana gorączką podlegania do złego, zawsze umiejąca sobie zręcznie jakoś każdą swą czynność wytłómaczyć, stara Robowa, niegdyś żona stolarza, kiedy się tu z Kolbuszowój przeprowadził, przepędziwszy młodość awanturniczo, przyspieszywszy mężowi śmierć swém najohydniej wyuzdaném życiem, — wzięła siostrzenicę jak się bierze konia — z myślą zarobienia na niej. Ona to wykształciła ją i w świat popchnęła. Aniela przeszła jeszcze swoją nauczycielkę w zręczności; od dziecka było to najdziwniej obdarzone dziewczę, które zgadywało i przeczuwało wszystko, i ku wszelkiemu złemu z namiętą bieгло ciekawością. Pod przewodnictwem ciotuni wykwitła bogato we wdzięki i sprytek, a Robowa myślała już tylko jak ten towar sprzedać, umiejąc go ocenić wedle wartości i z góry wiedząc co za podobne cacko na dobrego kupca wziąć można.

Nie chybiła téż żadnej zręczności popisania się z siostrzeniczką — wozila ją, pokazywała i złapała narreszcie młokosa, syna bogatego właściciela w sąsiedztwie, na którego pierwsze miłostki nie patrząc ni-by, dozwoliła im zejść daleko, obejrzała się dopiero, gdy już heroicznie z nich ratować się było trzeba.

Plan obmyślała sama Robowa. — Młody człowiek struchlał, gdy ojciec jego dowiedział się o wszystkim, a że to był starzec surowy i popędliwy, a dzieciak młody, niedoświadczony i zakochany, z przerażenia, z żalu, z przywiązania, wywiązała się w nim choroba, której skutkiem była śmierć. — Plan całkiem się nie udał; Aniela pozostała wdową, ale pani Robowa potrafiła przestraszeniem i wrzaskiem zmusić ojca do sowitej opłaty.

To było pierwsze pole Anieli; los jakiś nieprzyjaczny chciał, by jej wysokie talenta zawsze bezużytecznie i daremnie pelzły. — Zastawiono sieci powtórnie, na starego Pułkownika od piechoty, któremu Robowa ukazała w bardzo zajmujących kolorach swoją niewinną i nieszczęśliwą sierotę. Pułkownik już się miał żenić, gdy stary ojciec ów, dowiedziawszy się o tém, a zawsze chciwy zemsty za syna, objawił go o przeszłości Anieli i wszystkie stosunki zerwane zostały.

Aniela chorowała, umierała, rozpaczała po siwym Pułkowniku; Robowa poprzysięgła zemstę straszliwą, a Pułkownik ruszył dalej, na nowym kwatunku szukać żony.

Po tych dwóch meszczęśliwych próbach w domu pani Robowój zjawil się Terminiński, zobaczył Anielę, a że miejsce po oddaleniu panny Julii, chorój na kaszel i podejrzanój o suchoty, wakowało przy Kasztelanicu, zbadawszy ją i ciocię, uludziwszy obie nadziejami wielkimi, zabrał z sobą sierotę do Strumienia dla zarządzenia domu. Jaka tam była początkowo umowa między niemi, niewiadomo; ciocia z początku bardzo sobie życzyła, żeby z Anielą, dla oka ludzkiego, żenił się Terminiński, ale jemu się tego nie chciało, ażeby się więc pozbyć cioci i siostrzenicy, szepnął, że témby sobie los daleko może świetniejszy zagrodzily. Chodziło tylko o to by się staremu podobać, stać niezbędną, usidlić go — a kto wie? on sam mógł pannę Anielę powieść do ołtarza.

Terminiński wiedział o niepodobieństwie takiego końca (w chwili gdy to się działo), i dla tego właśnie ludził je tém obie. Ale nieznał Anieli; w istocie, stworzeńko to było daleko zręczniejsze, śmielsze, chytrzejsze, niżeli się spodziewać było po wychowaniu Robowój i życiu jakie pędzila w małym miasteczku. Zaledwie weszła na dwór Kasztelanica, z tytułem zwykłym Ochmistrzyni, zgadła zaraz charakter y tych co ją otaczali, oswladnęła wszystkiemi, ukształciła się

powierzchownie potrafiła doskonale zastosować do otaczających, i przeraziła Terminińskiego, niespodzianą zręcznością w postępowaniu z Kasztelanicem. Napróżno, zapóźno chciał ją wycofać różnemi sposobami; Aniela pozostała mimo niego i kamerdyner musiał zwrócić się ku niej, by nie mogąc się jęj pozbyć, przynajmniej korzystać.

Są tak szczęśliwe organizacye ludzi, które nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy z tego co czynią, umieją wszakże każdy krok stawiać trafnie i postępować jak gdyby z najgłębiej obmyślanego planu. Instynkt jakiś wskazuje im drogę: nie chybią słowem, ruchem, wejrzeniem i dochodzą do celu cudownie, fatalnie rzecby można, nie wiedząc nawet jakie ominęli niebezpieczeństwa. Tą trafnością instynktową w najwyższym stopniu obdarzona była Aniela, i tak szybko z mieszczański przedzierzgnęła się na panią, że osłupiały Terminiński poczynął się chwilami lękać tej, którą sam wprzód naraił. Jakby przeczuwała jakąś potrzebę wykształcenia się powierzchownego, nabrała maniery, mowy, tonu zupełnie nowego, raczej przeczutego niż naśladowanego, bo kogóż w Strumieniu widzieć mogła? Chciwie czytała, uczyła się, w przeciągu lat kilku zmieniła się tak zupełnie, że

ciotka nie śmiała do niej zagadać, nieodważyła się przy niej usiąść, tak czuła już jej wyższość nad sobą.

Kasztelanic też przywiązał się do niej, o ile ten człowiek mógł się do kogo przywiązywać; była mu potrzebną, bo go zagadywała, bo go jątrzyła, ożywiała, bo mu pochlebiała gniewając go, z szatańską zręcznością wszystko na korzyść swoją obrócić umiejac. Wysiłła się nie na to żeby jego serce pozyskać, czuła bowiem, że w tej zeschłej piersi serca nie było, ale by mu się stać nieodbitą w życiu — i taką już była prawie. Teraz rozpocząć się miał dramat, który wkrótce rozwijający się ujrzymy, osnuty wcześnie w tej główce, godnej świetniejszego pokrycia nad prosty tiulowy czépeczek.

Terminski patrzył na nią od niejakiego czasu niepokojny, trwożny, coraz niżej spadając z roli protektora jaką piastował i nieumiejąc sobie poradzić, by ją do stopnia, który w początku zajmowała, usunąć. Aniela garnęła się do góry. Niedowierzał jej, myślał właśnie i rozważał głęboko, czy rozpocząć wyprawę przeciw niej i wypowiedzieć jej wojnę otwarcie, czy zawrzeć przymierze. Musiał ją uznać silną, gdy sam pewien będąc, że jest niezbędnie potrzebny Kasztelanicowi. nie ważył się jeszcze jej zaczepić.

Była to godzina panny Anieli — weszła Aniela. Dziś jeszcze wybitniejszy na jęj twarzy był wyraz smutku, rozjątrzenia i nieukontentowania, gniewu prawie — ale wszystkie te uczucia przybrane grały tylko komedję.

Starzec odwrócił się ku nięj i powitał weselęj — ona się nie rozchmurzyła, usiadła opodal i zdawała zajęta więcej pokojem jego niż nim. Kasztelanicowi oczy zabłysły, wargi się zacięły, poółkl.....

— Porzuć Waćpanna te sąfry — rzekł — ze mną się to wszystko na nic nie przydało — tém nic nie wytargujesz...

Aniela porwała się jak oparzona.

— Pan jesteś nielitościwy i bez serca! — zawołała tragicznie — chcesz by ci każdy poświęcał wszystko, nawet swoje najtajemniejsze uczucia; posądzasz nawet smutek!

— Posądzam! tak! posądzam! — rzekł Kasztelaniec — bo ludzi znam, a kobiety jeszcze lepićj niż mężczyzn.....

Wzgardliwie się usmiechnęła panna Aniela.

— Co? — nie? — spytał Kasztelaniec.

— Nie będę się panu sprzeciwiać.....

— Pozwalam, sprzeciwiaj się; godzina dziesiąta, można, nic mi to już nie zaszkodzi — rzekł flegmatycznie starzec.

Ruszyła ramionami kobiéta i popędliwie odezwała się:

— Pan nie znasz nikogo, a najmniej kobiety! Chcesz naprzykład wesołości od kogoś co jak ja, nie-
szczęściem wtrącony został w najohydniejsze poło-
żenie. Ja mam czucie, mam serce! mam wstyd! ja
się krwawemi łzami codziennie zalewam za gorzki mój
chleba kawałek, a pan mi się każesz uśmiechać!

— Dość to ładnie powiedziano, ale rzecz zna-
joma — odparł Kasztelanic — rozumiem: trzeba by
czémś ten chleba kawałek osłodzić.

— Pan mnie nigdy nie zrozumiesz? a posądzasz
ohydnie!

— Mówię prawdę? he? wszak tak? — Ale cóż
chcesz więcej! W testamencie będziesz miała dowód
mój wdzięczności i pamięci.

— Ja wprzód umrę — smutnie odpowiedziała
Aniela.

— Nie wiem, ale na wyprzódki w téj rzeczy nie
spieszę, — jeśli chcesz — ja się o pierwszeństwo nie
myślę ubiegać.

— Umrę, a raczej — dodała z bystrym rzutem oka — odmienię to życie — pójdę ztąd!

Kasztelaniec spojrział na nią z uśmiechem niedowiarstwa.

— Rozmyślisz się i nie zrobisz tego — rzekł złośliwie — straciłabyś swoje zasługi.

— To życie mi obrzydło!

Skrzywił się starzec dziko i brwi namarszczył.

— Za daleko idziesz Mościa Panno — rzekł sucho. — Nie życzę się zbyt wygadywać, zmienmy rozmowę.

Zmierzyli się wzrokiem, Aniela postrzegła wrzący w nim gniew zimnego samoluba, on w niej poczuł złość upartej i silnej wolą niezłamaną kobiety — cofnęli się przed sobą oboje. Starzec odwrócił się ku oknu.

— Powiem ci — rzekł — dobrą nowinę: pani Hieronimowa odjeżdża.

— O! to tak obojętne dla mnie.

— Wiem przecie, że tej uśmiechniętej baby, co się do ciebie tak wdzięczy, nie lubisz.

— Cóż mi ona szkodzi?

— Aleś mi winna za tę nowinę co pociesznego, co ciekawego, wesołego.

Aniela wstała nachmurzona i milcząca.

— Powiem Panu — po chwili namysłu rzuciła stanowczo — że chcę i postanowiłam go opuścić.....

Kasztelanic, który się wcale niespodziewał takiej odpowiedzi, a czytał w jej oczach postanowienie silne, zadrzał, zawahał się, zachwiał — potem silnie zadzwonił.

Panna Aniela wyszła, bystro tylko rzucając nań okiem.

Terminiński stał już we drzwiach, zobaczył na twarzy pana niespodzianą zmianę; Kasztelanic posiniał cały i trząsł się — poskoczył żywo ku niemu.

— Co to panu? — zawołał.

— Co? — bełkocząc odparł stary — Aniela, ta głupia Aniela chce wyjeżdżać.

Nim się zebrał na odpowiedź ostrożny sługa, poszedł się wprzód upewnić, że za drzwiami szafy nie było nikogo, zamknął podwójne na klucz i stanął przed Kasztelanicem z uśmiechem obojętnym i założonemi rękoma.

— Cóż to proszę Jaśnie Pana tak straszno, że panna Aniela chce jechać?

— Jakto? ty wiesz jak do niej przywykłem, i pytasz mnie o to?

— A nie przestrzegałem ja pana żeby do niej nie przywykać?

— Ale to utrapiona czarownica! — z gniewem odparł Szambelan — umiała mi się przylizać, przywiązać mnie, i widząc swoją siłę, uchodzi.

— Czy pan temu wierzy — spytał Terminiński — Pan??

— Ja? ot, powiem ci — chłodniej poczał Kasztelanic — nie koniecznie wierzę, ale zawsze się boję; to zamęt, to zmiana w życiu, wcale dla mnie nie potrzebna?

— Cóżby ona z sobą zrobiła? — spytał sługa.

— A szatan ją wie! dość że mi się oznajmiła, że odjeżdża. — Czegoż już chce? niechże powie.....

— Przepraszam pana — stanowczo odparł Terminiński — ale w ten sposób zrobi pan sobie z niej królowę i panią. Jeśli jój raz damy co zamarzy, będzie wyjeżdżać co tydzień.

— Jakiś ty sprytny Terminiński! no! ale cóż począć? — spytał stary.

— Dać jój wyjechać.

— A jeśli wyjedzie?

— Ha! znajdziemy sobie drugą Ochmistrzą — rzekł śmiejąc się i zacierając ręce kamerdyner.

— To, nie, tego nie chcę — rzekł Kasztelan — ja do jój usług przywykłem; do innej ciężkoby mi się było przyzwyczaić.

— Więc JPan myślisz jój dać co zechce?

— Dać! uśmiechnął się stary chytrze — a kiedyżeś ty widział, żebym ja co dawał? — i dodał po cichu — obiecać to co innego! — Pokiwał głową, spojrzął na zegarek: — Cóż postanowimy? — rzekł powoli.

— Pozwolić jój jechać.

— Ale nie! nie! ona doprawdy zrobić to gotowa.

— Nie! nie! oho! nie pojedzie, jestem tego pewny; będzie się obawiać by ją nieopuszczono, przeprosi i koniec.....

— Ha! próbój! — rzekł stary — ale w ostatku do wyjazdu nie dopuszczaj. Jeśliby myślała wyruszać, daj mi znać i wstrzymaj — odpowiadasz mi za nią — niechęć żeby jechała!

I z widoczną niespokojnością wstał Kasztelan z krzesła spoglądając na zegarek uważnie, obawiając się by zwykła jego godzina, o której niepomyślał w porę, nie uciekła mu zbyt daleko.

Nastąpiło ubranie ze wszystkimi ceremoniami toalety człowieka, co się chce odmłodzić tysiącem sztucznych środków i wierzy w kosmetyki, mydła, wody, przyprawne zęby i pożyczane barwy. O! widok to był przykry i smutny! bo nie smutniejszego nad starość, która się ocenić i uszanować nie umie.

Dobłą godzinę trwało to piększenie mozolne; wreszcie Kasztelanie przejrzał się w wielkiem zwierciadle — był gotów. Terminiński ustąpił mu z drogi i uszedł szybko ku wyjściu, a starzec dobywszy klucza zawieszonego na jedwabnym sznurku na szyi, zbliżył się ku trzecim drzwiom, odemknął je powoli, ostrożnie, wcisnął się żywo do tajemniczego pokoju i zaryglował w nim zaraz starannie.

Terminiński na progu został sam, zadumany przez chwilę, ustawił krzesła, zaścił łóżko i powoli wyszedł do panny Anieli.

Na progu zmierzylili się oczyma: on zimny i niezbadany, ona gniewna i zaperzona.

— Co to jest? co to pani myśli? — zapytał poufale Terminiński, dobywając tabakiereczki i powoli zażywając albanki.

— Widzisz pan, myślę jechać! — udając największy gniew odpowiedziała Aniela — życie tu już mi

obrzydło; wisić tak przy tym zwiędłym starcu, nie-
znośnym, niełitościwym, szyderskim..... to grób! i go-
rzęj grobu. Nie mogę, niechcę tu być dłużej! Świe-
cić ciągle oczyma przed światem, przed godną jego
rodziną holyszów co nas pilnują i szydzą..... nie znio-
sę tego dłużej, nie zniosę!.....

— Ale bo widzi panna Aniela, że kiedy się co
z góry wiedziało i na co zgodziło.....

— Nie godziłam się przecie na całe życie i na
powolną śmierć.

— No! czegoż panna chce?

— Żebyście mi oba, ty i pan twój, dali pokój!....
Terminiński tylko się rozśmiał.

— Dalibóg pannuniu, to jeszcze nie w porę ta
komedia. A jak my pannę puścimy?

— Niczego więcej nie pragnę!

— E! mówmy tu otwarcie! — rzekł zniecierpli-
wiony sługa — wszakżeśmy we dwoje, na co to kła-
mać. Panna wprawdzie zyskujesz swobodę, ale z nią
i hołotę; wracasz do cioci Robowój, a teraz o tych
pułkowników coraz trudniej.

Aniela zarumieniła się i pobladła nagle.

— Jeśli panisko Bogu ducha odda—inówił dalej
Terminiński — zapisy przepadną, nadzieje lichy weź-

mie. Tu trzeba dotrwać do końca, bo koniec dzieło chwali dopióro. Widzisz Waćpanna; służę mu lat dwadzieścia pięć, grosza przy duszy nie miałbym, żeby nie pocziwy ten Bulwa co mnie czasem jakim rublem podratuje; kraść nie chcę i niepodobna; dwadzieścia pięć lat zmarnowałem czekając, i będę czekał jeszcze, a mam lat pięćdziesiąt..... Waćpanna zaś mając zaledwie.....

— Proszę moich lat nie liczyć!

— Przepraszam, ale tak z gruba biorąc, młodsza jesteś odemnie — a już się niecierpliwisz. Przypominam pannie, że Kasztelanie zbliża się pod dziewięćdziesiąt—to piękny wiek!!

Panna Aniela ruszała wprawdzie ramionami, ale słuchała.

— Ale ja w téj sromocie wyżyć nie mogę! ja mam wstyd i sumienie—ja chcę...

— A to co innego: jeśli panna, jak się domyślam, życzy sobie do klasztoru wstąpić!—zawołał Terminiński ze śmiechem—jeśli tak—nie przeszkadzam.

Nie wiem co sobie zamierzała panna Aniela i jakie miała rachuby, ale niewzruszona przekonującą wymową Terminińskiego, poczęła się z dziwną obojętnością pakować i wybierać. Sługa stał przypa-

trując się chwilę, nachmurzył się zamyślony i odchodząc rzekł w duchu:

— No! no! do tego to już doszło! trzeba radzić, bo może być źle — albo pannę wyforować, albo jęj pomagać i z nią się sprzymierzyć. Mógłbym po dwudziestu pięciu latach wylecieć najniespodzianiej! dobram sobie biedę kupił!—Ha! poradzimy!

IV.

Pani Hieronimowa musiała czekać do obiadu żeby z Kasztelanem pożegnać. O zwykłej godzinie, minucie i sekundzie drzwi się otworzyły i wyszedł stary Stanisławowski paż, w codziennym swoim stroju, ale znacznie na twarzy zmieniony. W oczach grała mu niecierpliwość gorączkowa, ręce drżały jak od gniewu, wejrzenie dziko błędziło, nic przed sobą nie widząc.

Jaś już znalazł się w sali, w chwili gdy Kasztelanic drzwi otwierał, ale go przybyły o nic nie zapytał. Zdawał się widzieć go, a nie wiedział czy jest, tak silnie trwożył się i niepokoił o wyjazd panny

Anieli, choć się do téj trwogi sam przed sobą nie-przyznawał.

Jaś jednym rzutem oka dojrzał coś nadzwyczajnego w humorze stryja, ale nie odezwał się nawet, czekając zapytania. Z złożonemi rękoma, cicho, pokornie, stał przy drzwiach, badając ledwie nie z ciekawością dziecka, bez litości -- symptomatów choroby niezwyklej, która zdawała się go bardzo obchodzić. Dotąd bowiem Kasztelanie nigdy się niczém tak silnie poruszyć nie dawał; brał wszystko chłodno, szydersko, a ludźmi rzucał z obojętnością heroiczną. Jaś pomyślał naprzód czy nie chory.... ale przyniesione i dobrze przyjęte śniadanie dowiodło mu że nie. Żołądek Kasztelanica tak był o swoje prawa zazdrosny, i tak się oddzielał od tego co sercem nazywają, że najmniejszego wpływu nie wywarł nań niepokój. Zjadł co mu podano, zamyślony — nie był więc chory, bo w chorobie żył jednym kleikiem; i ktoś mu widocznie niepokoju tego napędził, myślał Jaś.

W chwili króciuchłej między obiadem a śniadaniem, przyszła pani Hieronimowa i postanowiła skorzystać z niej, by przemówić do serca stryjowskiego. Oszczędzając jej przykrości mówienia przy świad-

kach. Pan Samuel, który się domyślał że ten krok uczyni, i Rotmistrz, świeżo wracający z polowania, umyślnie się do salonu spóźnili. Jaś tylko stał kołkiem, ale biedna matka nadto była przejęta losem dzieci, by ją trochę upokorzenia wstrzymać miało od kroku, w którym pokładała nadzieję.

Kasztelanic dojadł gdy kobieta odezwała się najśladszym jak mogła głosem, z pokorą i strachem:

— Dziś chcę kochanego stryja pożegnać i podziękować mu za uprzejmą w domu jego doznaną gościnność.

— A! a! — odezwał się gospodarz — cóż tak prędko?

— Mam wiele zajęcia w domu — odpowiedziała wzdychając Hieronimowa — czas drogi, dzieci tam na mnie czekają.... Mam tych biédacząt czworo; a tak mi z niemi ciężko! takeśmy ubodzy!....

Kasztelanic zaciął usta; spojrziała matka i serce się jej ścisnęło, ale nabierając odwagi, postanowiła konczyć bądź co bądź.

— Nigdy mi tak na świecie ciężko nie było, jak teraz.... ledwie ich odziać i wyżywić możemy; a o szkołach, jeśli nam stryj dobrodziej nie dopomóż i pomyśleć trudno!

Na to wyraźne wezwanie Kasztelanica podniósł blade oczy pełne gniewu, spojrział, położył widelec i usiadł. Pani Hieronimowa cała drżała, w duchu odmawiając jakąś modlitwę, gdy napchane wędliną usta Kasztelanica otwarły się wreszcie z jakimś gorzko-kwaśnym uśmiechem.

Westchnął szydersko.

— O! kochana pani Hieronimowo, czegoby to człowiek dla familii nie zrobił, *gdyby mógł* (wymówił z przyciskiem). — Ale tak ciężkie czasy! tak ciężkie czasy! Pomódz! pomódz! familia nasza liczna, jednemu pomógłszy, potrzeba wszystkim; a jam stary i tak się tylko wam zdaje, że majątny! Ubogim ja także! Mam długi! istotnie bardzo mi ciężko! Niech Bulwa poświadczy: wszystko się rozchodzi!

Mówił to jakoś niby się żaląc, i piszczał tak pocieszenie, że Jasiek ledwie się od śmiechu mógł wstrzymać, a pani Hieronimowa, gdyby nie to, że wierzyła panu Samuelowi i wczoraj od niego nauczyła się znać Kasztelanica, byłaby to wzięła za świętą prawdę, i użaliła się nad jego nieszczęśliwym stanem.

Szambelan westchnął znowu, i tak mówił dalej.

Inter. Tom I.

— Co się tam kiedy po mnie zostanie, nie dla kogo tylko dla was! Nie długo poczekacie; jam chory, niedołęga, a teraz gdybym najmniej chciał dla was uczynić, niestałoby mi kawałka chleba do jakiego przywykłem.

Pani Hieronimowa nieśmiała więcćj nalegać, wszedł pan Samuel i na tém skończyła się próba, której skutek doskonale był przewidziany dla tych, co zbliśka znali Kasztelanica.

Terminiński z usty uśmiechniętymi, dowodzącemi że gdzieś pode drzwiami słuchał, dał znać, że dano do stołu. Wszyscy weszli do sali w tym co wczoraj porządku, ale panna Aniela się nie ukazała. Oko starca najpierwszój jój szukało, nie znalazło, i niepokojny siadł do stołu; widocznie niebytność ulubionój obiad mu zatrula. Jadł wprawdzie i jadł obficie, ale myśl czém inném zaprzątniona, nieprzytomna, nie dozwalała mu się nasycać wybornemi wymysły nieporównanego Karasińskiego.

Jasiek wciąż badał stryja; Bulwa siedział przeleżkły, widząc straszny humor Pana, jaki się rzadko trafiał, zwłaszcza w czasie obiadu, i obawiając się by rozdrażnienie to na nim się nie skończyło. Terminiński chodził także z półmiskami razem i z troską; sło-

wem, obiad był chybiony, a rozmowa ledwie kiedyś kiedy rozpoczęta, wnet się urywała.

Przeszli do bawialnego pokoju, podano kawę i likwor, ustawił Jasiek warcaby, wygrał Szambelan i — nie usnął.

To już było tak znaczącem, że Terminiński, który jak na barometr poglądał na grę przeze drzwi wybiegł strwożony, zacierając czuprynę. Jasiek nic tego wszystkiego zrozumieć nie mógł.

Goście powychodzili, Kasztelan nie zdrzymnąwszy się nawet, wysunął się zaraz do swego pokoju.

Dzwonek nie dał zjeść Terminińskiemu; przyleciał jak oparzony.

— A cóż? — zapytał stary.

— Co Jaśnie Pan każe?

— Panna Aniela? wybiera się?

Zmiał chustkę, którą trzymał w ręku i gwałtownie rzucił ją o stół.

— Prosić jej do mnie — rzekł — to trzeba raz skończyć.

— Terminiński struchlał.

— Ale Jaśnie Panie — rzekł zastraszone — jeśli się jej na włos dozwoli czego więcej, ona nas opakuje.....

— Prosić do mnie—powtórzył Kasztelanie silnie! Terminski jeszcze się nie ruszył z miejsca.

— Jaśnie Pan pozwoli sobie uczynić uwagę.

— Terminski, słuchaj chceszli być cały! — krzyknął stary—ja wiem co robię!

Terminiński, silny zasługą i łaską, jeszcze nie szedł.

— Słówko tylko—rzekł— ona nas doprowadzi do ostatniego upokorzenia, jeśli Pan jój cugle popuści.

— Prosić panny Anieli!—powtórzył uparcie Kasztelanie, nie wdając się w rozprawę.

Nie było co robić; Terminski usta skrzywił, włosy zatarł i wyszedł.

Panna Aniela chodziła po swoim pokoju, z rumieńcem na twarzy, poruszona, gorączkowana, coś mówiąc do siebie po cichu i miotając się gwałtownie; rzeczy jój już były upakowane po większej części.—Spoglądała w okno, słuchała najmniejszego szelestu, od rana wyglądając czegoś i doczekać się nie mogąc. Znała ona swoją władzę, czuła że jój nie powinien puścić Kasztelanie i trwożyła się wątpiąc chwilami o sobie. Nareście drzwi się otworzyły—wszedł Terminski. Zastanowiła się, uśmiech nieznaczny jak wietrzyk przeleciał po jój ustach.—Spojrzała tylko, i wiedziała o wszystkiém.

— Prosiłam Pana o konie! — odezwiała się.

Termiński wpatrzył się w nią, kiwnął głową.

— Dałabyś Pani temu pokój — rzekł z wyrzutem — do czego się to zdało? Pani znasz Kasztelanica; na co go rozjatrzać? co to pomoże?

— To pomoże, że powrócę do domu — żywo odpowiedziała Aniela — że wrócę do mego ubóstwa, ale wyłamię się raz z tego ohydneho życia..... którego dłużej znieść nie potrafię!

— Seryo, panno Anielo!

— O! bardzo seryo!

— No! to niechże mi Pani powie, po co tu było z razu przyjeżdżać i tak nieznośne przyjmować obowiązki?

— Bom nie miała pojęcia co mnie tu czekało. Zresztą, lepićj poznaję codzien całą sromotę i nieznośność takiego położenia; wolę w domu mój chleb czarny.

— Ale zkądże to Pannuni przyszło? — spytał Terminiński, poczynając się trwożyć.

— Z myśli o sobie; zresztą co komu do tego; nie obowiązana jestem się spowiadać!

— Rób więc Pani co chcesz! a tymczasem proszę do pana.

Otworzył jęj drzwi szeroko: panna Aniela ruszyła się i wydalila zbyt szybkim ruchem; kamerdyner trochę się już uspokoił.

— Ba! kiedy tak do niego leci — rzekł — to wszystko komedia! — ale zrećzna!

Kasztelanie chodził po sypialnym pokoju ; — jak tylko ujrzał Anielę , dał znak Terminiowskiemu żeby ustąpił ; zastanowił się i przybrawszy najśłodsza swą minkę, przybliżył się do rozdąsanéj.

— Moja kochana panno Anielo , powiedzże mi, co ci się to stało? Któż cię obraził? któż ci co nie-miłego powiedział? Braknie ci czego? Zkąd ten nagły gniew w chwili może gdy najwięcej czułem twoje poświęcenie dla mnie i myślałem jak je potrafię w przyszłości wynagrodzić.

Trochę kwaśno jeszcze, wszakże udobruchana nieco, odezwała się przybyła.

— Niech się Pan sam zastanowi nad położeniem mojem: czy ono do zniesienia? Wszyscy mnie wytykają palcami. Otwarcie Panu mówię, nie jestem jeszcze stara; mogę sobie znaleźć los.

Stary ramionami ruszył.

— Lepszego, jak tu, Waćpanna sobie nie znajdziesz — rzekł po cichu. — Waćpanna wiész, że jesteś w moim testamencie.

Oczy Anieli błysnęły żywo i przygasły.

— Jeśli odjedziesz, dziś drę mój testament — wypłacić każe pensję — i nic więcej.

Nagle łzy stanęły w oczach kobiety.

— Ja do pana jestem szczerze przywiązana, ja po nim płakać będę, bo umiem czuć jego dobrodziejstwa — ale.....

— Cóż to za ale?

— Mogę ja tak pozostać?

Kasztelaniec, jakby nagle uderzony myślą jakąś, uśmiechnął się potajemnie do siebie.

— Po mojej śmierci — rzekł — znajdziesz łatwo męża jakiego zechcesz, z posagiem, który ci przeznaczam — bądź spokojna.

Spojrzała na nią badając: z za łez już się powoli uśmiechała.

— Zostaniesz więc? — zapytał.

— Czegóżbym nie uczyniła dla Pana? — odpowiedziała cicho.

Stary zatarł ręce.

— A więc! zgoda! zgoda! — szepnął przybliżając się do niej i obejmując ją w pół z uśmiechem Satyra i błyszczącymi oczyma. Zgoda droga Anieleciu!

Na uścisk sam wszedł niefortunnie Terminiński. panna Aniela odepchnęła starego, a kamerdyner srogię wejrzenie odebrał od pana.

— Panna Aniela zostaje na moje prośby— rzekł poważnie Kasztelaniec — ale życzę żebyście wszyscy, nie wyjmując nikogo, pamiętali, że ona tu po mnie pani: żeby się jej woli, jej rozkazowi nikt sprzeciwie nie śmiał, żeby nie miała najmniejszego powodu do żalu..... Słyszysz to Waćpan?

— Słyszę Jaśnie Panie!

Tak się skończyła pierwsza scena tego domowego dramatu, a kamerdyner rzekł w duchu do siebie:

— Muszę zawrzeć przymierze; stary dał się uwi-
kłać.

Stary jednak wcale dotąd uwikłany nie był, jak to później zobaczymy.

V.

Wózek pani Hieronimowej, zaprzężony trójką browłoków, zaszedł zaraz po obiedzie przed oficynę, bo i woźnica Korniej, rażny chłop w świetle z kapturem, i Hapka już odziana w swoją siwą katankę, spieszyli do domu, nie mogąc dojść do ładu z pańską służbą Kasztelanica. Oboje radzi byli jak rychlój panią wyprowadzić z tego utrapionego miejsca, w którym i nudy i prześmiewania cierpieli. Pani Hieronimowa, pożegnawszy wszystkich, przeprowadzona przez pana Samuela i Rotmistrza, wyszła zasiąść na swoich tłomoczkach, ze smutkiem i ciężkim na sercu zawodem.

Niechcąc uchybić nikomu, zajrzała nawet do panny Anieli, która jęj ledwie głową kiwnęła; uśmiechnęła się do Terminińskiego, który ręk nie wyjmując z kieszeni, coś tylko burknął pod nosem, i przyodziałwszy się na prędko, bo uboziuchnej kobięcinie żal było lepszój sukni na drogę: związawszy białą chuścina głowę, poczęła się drapać na wysoki tłumok, pokryty wytartym kilimkiem.

Pan Samuel wstrzymał ją jeszcze na wsiadaném.

— Pamiętajże Asińdzka, rzekł — o poleceniu mojem — to nie przelewki; wielu się na nas gotuje, potrzeba oka, potrzeba człowieka; przyślijcież mi tu kogo do pomocy.

— Powiem o tém memu mężowi, i co on postanowi, to zrobimy.

— Ale mu Asińdzka dobrze w głowę nabij, żeby się do tego wziął zaraz; bo to nie są żarty, możemy wszystko stracić.

Tak tedy wyjechała zawiedziona kobięta i modląc się a układając sobie po drodze, jakby mężowi oznajmić najostrożniej o nieszczęśliwej swęj wyprawie, na której tyle spoczywało nadziei, trzeciego dnia zbliżała się do domu.

Powrót do domu! jakże to sercem poruszał!

Gdy się pani Hieronimowa zbliżyła do wioseczki w której część posiadali, gdy zobaczyła topole i lipy otaczające maleńki ich domek, tak jęć się radośnie i straszno zrobiło zarazem, że o wszystkich podróżyach zapomniała planach..... patrzała na ten dach, pod którym czworo dzieci i mąż czekali na nią; liczyła czy wszystko znajdzie na miejscu, żegnała siebie i wioskę niebogą, a łzy toczyły się z jęć oczu. Korniej, woźnica, i Hapka wykrzykami swemi dowodzili, że dzielali jęć uczucia, ale inniej z nich troski, więcj dozając radości. Dym z kominów płynący, pożęte kopy na chłopskich sznurach, wysypa tu i owdzie słoma od przewięseł jarzynnych, bydelko pasące się w oddaleniu, i postacie ludzkie dla oczu obojętnych niedostrzczone — dla nich były powodem tysięc uwag, postrzczeń i wykrzyków. Pani Hieronimowa za lżę i niepokojem, nie wiele sama postrzedz mogła; nareszcie wózek przeskoczył wysoki próg słomę pokrytęj staręj bramy i zatoczył się przed maleńki dworek Hieronimstwa.

Chatka ta była uboga, a uboższę jeszcze wydać się mogła po wspaniałych salach dworu Kasztelanica. — Domek chylił się do upadku, podpierany ze wszech stron, wpadły w ziemię i przekrzywiony sta-

rością — dach jego stroiły mchy zielone grubo na nim narosłe; w koło przyzba, jak przy wiejskich chałupach, obiegała ściany broniąc od zimna i mrozu. Opasany płotkiem brzozowym i ogródkiem, w którym kwitły wysokie malwy i złociste chryzantony, wyglądał z niego jak z koszyka kwiatów. Po nad stary dach zwieszały się szeroko rozpostarte lip odwiecznych gałęzie, a dwie topole z gęszczy w górę, jakby daleko wyjrzyć chciały, stróżując domostwu. Ganek o dwóch słupkach przekrzywionych, poprzedzał ciasną sioneczkę. — Dziedzińczyk zamykały gospodarskie budowle ściśnięte, i to szczupłości gruntu świadczące skrzętném ustawieniem jedna koło drugiej — każdej tu widać piędzi zagona oszczędzać musiało.

Ledwie się wózek we wrotach pokazał, z krzykiem i hałasem wybiegły dzieci na przeciw matki. Było ich czworo, dwoje dziewcząt, chłopiąt dwoje. Starsze panienki, z których jedna mogła mieć zaledwie lat piętnaście, a wydawała się siedemnastoletnią, tak ją ciężka praca wczesnie dojrzała, druga dziesięcioletnia, wyprzedziły chłopaków, ale wszystko czworo zarówno zapaleczywie i głośno krzyczeli:

— Mama! mama! mama przyjechała!

Piękne te były dziatki, choć widocznie słońce i wiatr twarzyczek ich nie poszanowały, bo prócz najstarszej, poopalone było na czarno i brązowo — ale pod tą pozłotą jaśniał rumieniec żywy i oczy, jak u wszystkich ciemno-płciowych na bielszej jaśniejące osadzie, ognisto połyskiwały. Najstarsza, Zośka, śliczne dziewczę ledwo rozkwitające, z włosami ciemno-blond — zastępca matki, poważna jak świeżo wyszłe z dzieciństwa stworzenie, tamowała zapędy szalone braciszków i siostrzyczki. Anusia, młodsza jasno-blondynka z ogromnemi szafirowemi oczyma — ulubienica ojca, już była na stopniu bryczki, do której poczepiali się i chłopcy, dziesięcio i siedmioletni Adaś i Marcinek.

Ojciec się nie pokazywał, bo go w domu nie było; pilnował on żniwa z gumiennym a czasem i sam sierp biorąc do ręki.

Ledwie się tém nie ucieszyła pani Hieronimowa że go nie zastała, bo się miała czas upamiętać znowu, wypytać dzieci, które razem wszystkie szczeniowały, i obejrzeć po domu.

Tu wszystko świadczyło o ciężkiej doli, o wielkiem ubóstwie i pracy.

Wnętrze dworku nie miało kąta swobodniejszego, tego bawialnego pokoju, charakterystycznego tém, że

kto go ma, bawić się może. Nie było go w domku Hieronimstwa, bo nie mogli na chwilę pomyśleć o zabawie; — wszędzie praca i oszczędność skrzętna patrzyła, wszędzie stały przyrządy gospodarskie, sprzęty jakie, lub zapasiki, lub poczęte roboty. Ale te świadectwa zajęcia pracowitego rozweselały chatkę — życie w niej było wszędzie. Tam dziewcząt krosienka i motowidła, owdzie kolowrotek porzucony, schnące nasiona, bielące się płótna, pokrajane do szycia bielizny; a obok wyczytane książeczyny chłopców, na których starsze siostry czytać ich i rachować uczyły. Aż się serce rozradowało biednej matce, która ten ukochany kątek opuścić musiała pierwszy raz w życiu — gdy ujrzała go znowu, równie ubogim ale droższym jeszcze po chwili oddalenia. W swojej sypialnej izdebce, przy biało zasłaném łóżku, przed obrazem Najświętszej Panny upadła na kolana, Bogu dziękując że powróciła, prosząc go, by ciężki zawód sercu męża lżejszym uczynił.

Dzieci stały zdumione tą nagłą modlitwą; tylko najstarsza zrozumiała znaczenie tego smutnego dziękczynienia — reszta oczekiwała końca, krótkiego westchnienia, by co najrychlej nacieszyć się matką. W tém jakby przeczuciem wiedziony i pan Hieronim uadje-

chał, na stępaczku dereszowatym, którego przed gankiem porzuciwszy leciał niecierpliw do żony.

Był to lat czterdziestu kilku mężczyzna, opalony, czarny, ale przystojny, silny, zdrow, twarzy otwartęj, czoła spokojnego — jeden z tych ludzi co ich walka i praca nie ustrasza, którzy życie dźwigają jak olbrzymy, nie czując jego ciężarów. Ubrany był w kitel płócienny, z chustką jakąś kolorową na szyi, w butach juchtowych, w kapeluszu słomianym, i podobny do ekonoma starego autoramentu, bo dzisiejsi w takim stroju nawetby przed robotnika pokazać się niechcieli.

Wszedł, a raczěj wleciał, szukając żony oczyma z rozstawionemi ku niěj rękoma. Pani Hieronimowa właśnie wstawiała od modlitwy, gdy odwróciwszy się ujrzała go przed sobą, i uścisk serdeczny, milczący, prawie namiętny, oba pocziwe ich serce zbliżył i poruszył.

— Jakże ty się masz — zapytała kobięta czule.

— Jakże ci się tam moja biedna wędrownico jeździło — przemówił razem prawie Hieronim.

— Jeździło się bardzo dobrze, a powróciło się — z niczém — odpowiedziała od razu, chcąc zważyć ciężar z serca kobięta, z uśmiechem rezygnacyi, który w sobie jedyną możliwą zawierał pociechę.

— Ha! wola Boża! — rzekł chmurno trochę mąż.
i cóż? stary nie nie da?

— Ani myśleć o tém — prędko przerwała żona.
Później ci wszystko obszerniej rozpowiem, bo jest
o czém mówić — historye! Stryj Samuel ci się kłania.

— On tam zawsze?

— Zawsze, on, Rotmistrz i Jasiek! o! i kupa lu-
dzi jeszcze!

— Prawda, że tak bogaty!

— I tak nie uczynny!

Hieronimowa spuściła głowę smutnie.

— I nie uczynny! — dodała cicho — ale o tém po-
mówimy później! — Jakże mój Hieronimie, twoje
gospodarstwo?

— Gospodarstwo! co chcesz! jak gospodarstwo,
kłopotliwie, ciężko, ale się to wlecze. Co to, moja
droga, gospodarzyć na trzech chłopkach samo-czwart,
na dwudziestu morgach ziemi, a czworo niebożąt,
nie licząc dwojga siebie, mając przed oczyma.

— E! tylko nie wpadaj w te skargi i żale — rze-
kła żona gladząc go pod brodę — jakoś to będzie —
a Bóg ma więcej niż rozdał.

— Alboż to ja stękam i skarżę się — rzekł pan
Hieronim — o! to się po mnie nie pokaże; choć bie-
da to hoc! aby dalej! aby dalej!

Potarł ręką po czole i usiadł.

Córki zaprzętnęły się przyjęciem matki; ludzie dworscy przybiegli kochaną panią powitać, dzieci mniejsze obstały ją chwytając za suknię i tak w gwarze wesołym zbiegł czas do wieczora. Dopiero gdy się sam na sam z sobą zostali, nierychło, mogła pani Hieronimowa mężowi opowiedzieć jak znalazła Kasztelanica, dom jego, i co jój polecił Pan Samuel.

Ale nim przyjdziemy do ich rozmowy i jój skutków, powiedzmy wprzód czytelnikom naszym, z kogo się składała rodzina Kasztelanica, w chwili gdy tę powieść rozpoczynamy.

Jużeśmy o tém nieco dowiedzieli się z ust pana Samuela, ale niedostatecznie; tu jaśniej wypada nam dać poznać osoby, które grać mają rolę w opowiadaniu naszym.

Protoplastą rodziny Zawilskich herbu Trzaska, był Pan Jan Zawilski, Kasztelan z łaski Sapiehów i Brannickich, żonaty niegdyś z Panną Anną Palucką, wielkopolaną, bogatą w nadzieje dziedziczką, która jednak skutkiem złych interesów rodzicielskich, nie tyle otrzymała po ślubie, ile jój obiecywano. Wiemy jak nieszczęśliwie powodziło się Janowi, ojcu

Kasztelanica, i jak w drugiem pokoleniu już zubożała jego rodzina cała, prócz syna Stanisława, — który sam jeden cudem się jakimś niepojętym i niewiadomym, niewiedzieć jak z bogacił — i Piotra, zamożnego przez ożenienie.

Najstarszą z dzieci Kasztelana była córka Helena, która wyszedłszy za Pana Jerzego Pobiałę, majątnego szlachcica, zostawiła po sobie trzech synów i jedną córkę. Po Kasztelanicu, obok Pana Piotra stali oni co do majątku najlepiej, wszyscy mieli po dobrej wiosce, a przy jednym z braci, Panu Augustcie, prześadywała siostra niezamężna dotąd, Panna Domiceła, już nie młoda, choć bardzo piękna jeszcze, odrzucająca wszystkie partye, z dziwną i wiele do myślenia dającą stalością.

Pobiałowie, skutkiem związków familijnych z kilką znaczniejszymi domami Podola i Wołynia, choć średniego byli majątku, stali na stopie niby pańskiej, przywyklszy do życia wystawniejszego i zmuszeni będąc przyjmować krewnych swoich książąt i hrabiów, od których po polsku nie chcieli w niczem skromniej i mniej dostatnio się pokazać. Dom Pana Augusta zwłaszcza, który po żonie wziął wioskę drugą i mógł mieć sobie pół miliona fortuny i urządzony był po

modnemu, wytwornie, strojno, liczył się do zamożniejszych i okazalszych w okolicy. Wszyscy większego świata ludzie bywali na obiadach u pana Augusta, który miał kuchnię wyborną i lubił jeść dobrze. Dwór w Suchoborze zakrawał na pałacyk nawet — miał wysokie cztery kolumny w ganku, szwajcarkę przed bramą, angielski ogród nad stawem, kamerdynera w białych rękawiczkach i t. p. i t. p. Dzieci wychowywały się z francuska; książki brukselskiej edycyi najświeższe leżały na mahoniowych stolikach, w ogrodzie świeciły oranżerye, a w wozowni stały powozy wiedeńskie. Żeby temu zbytкови podolać na dwóch wioskach, mając dzieci, potrzeba było oszczędności potajemnej, skrzętniej, czasem przesadzonej kryjomo, a tę doskonale rozumiała i spełniała żona pana Augusta, z domu Malewiczówna, córka dorobkowiczów, dobra kobiécina, z jednej strony tém państwem męzoskiém uradowana, z drugiej niepokojna z powodu wydatków, na które ich ono wyciągało.

Pan August chorował na pana, ciągle nie mówiąc o niczém tylko o swém pokorném szlachectwie, o swój maleńkiej fortune i niedostatku, którego wcale koło niego widać nie było. Taki miał nalóg nie-

borak i zdawało mu się, że to występ jego podnosi, może się i nie mylił, a przynajmniej to zyskiwał, że gdy się tak ciągle upokarzał, to go przez grzeczność podnosili goście i pokora wywoływała wywyższenie. Państwo Augustowie mieli jeszcze niedorosłych troje dzieci, których właśnie wychowanie ich trapiło i miotalo niemi, bo oboje starali się je dokonać najstaranniej, jako obowiązek sumienia i obowiązek próżności; sam zaś pan dręczył się, że dzieci nie dość po pańsku wychowuje sama, że to zbyt i tak wiele pieniędzy kosztować musi.

Dwaj bracia Pobialowie, oba starzy kawalerowie, mieszkali niedaleko Augustowstwa. Tomasz, średni był trochę hulaka, nigdy w domu nie posiedział, lubił pański stół, pańskie towarzystwo, a nadewszystko podobno karty. Nie przegrywał on wiele, bo egoizm dobrze zrozumiany odrywał go od większych gier, dla możności grania ciągłego; łatwo sobie bowiem obrachował, że raz się zgrawszy, wyrzec się będzie musiał na długo największej życia przyjemności. Grał więc z pomiarkowaniem i kalkulacją na jutro. Pana Tomasza w domu rzadko kto zastał — przyjechał, obejrzał, ruszał znowu; raz tylko lub dwa razy do roku dawał wielkie obiady, szumnie, huczno.

pysznie, a potóm zaprzęgać kazał do najdyczanki i ruszał po panach i półpankach na preferansa i landsknetu. Pan Tomasz, jak wiele mu podobnych, co dosyć mają wrodzonego sprytu a więcéj jeszcze lenistwa, nigdy się niczego nieuczył, nawet świata i ludzi! schwytał co mu samo przyszło wyrywkami, ale też z najmniejszój rzeczy korzystać umiał i tak się wykształcił na tych nieustannych pielgrzymkach, że go liczono do najmilszych i najprzystwoitszych ludzi w szerokiém kole, które znajomości jego obejmowały. Jak panna Domicella, nie myślał się żenić, bo trzydziestokilkoletni, pomimo że go swatano często i natarczywie, że nań zastawiano sidła mnogie i niebezpieczne, nigdy nawet chwilowo złapać się nie dawał. Nareszcie musiano sobie powiedzieć, że to człowiek nie do ożenienia i dać mu pokój.

Wytarty w świecie, niezmiernie grzeczny, nadzwyczaj trafny w postępowaniu z ludźmi, umiejący ich słabości odkryć szybko i z nich korzystać dla uprzyjemnienia życia, pan Tomasz niemiał sobie równego w salonie, a równie praktycznym okazywał się w interesach własnych.

Ciągle na wózk, nieustannie w podróży, pomimo że niedogłądał gospodarki, szła mu ona wyśmiej-

nicie, cudem jakimś zapewne — choć grał niezgrywał się nigdy, a zawsze grosz miał w kieszeni. Wytworzył i czyściutki jak stary kawaler, w domu i koło siebie otaczał się miłą elegancją, a tak mu było na świecie swobodnie, że gdyby nie chwilowa niekiedy chimurka na czołe, którą jego bliżsi znajomi zwali *kwiaternowym obłoczkiem*, gdyby nie dziwna czasami zaduma, niktby szczęśliwszego i lepiej okazującego swe szczęście twarzą i mową nie widział na świecie.

Cale innym był trzeci brat ich, pan Józef Pobiałą, najmłodszy, po którym ostatnią z rodzeństwa następowała panna Domicella. Pan Józef równie jak Tomasz, kawaler, słabowity od dzieciństwa, chodził o kuli skutkiem skrofulicznej choroby, która mu jedną nogę wykręciła, i z tego powodu siedział zakuty w ubogim swoim domku, zajmując się za cale rodzeństwo skrzętnie zbieraniem grosza.

Straszny to był kutwa, ale w gruncie dobry człowiek — skąpstwo i serce poczciwe dziwną w nim a nieustanną wiodły z sobą walkę. Pierwszy jego popęd był zawsze najlepszy, następowała chwila rozmysłu, namiętność panująca brała górę i serce stygło powoli.

Nigdy jednak nie oziębło tak bardzo, by iskra li-
tości w niém nie tlała. Gdéra nieprzegadany, pan
Józef gospodarzył z krzesła i z okna, rzadko nawet,
obawiając się przeciągów i wiatru, na ganek o kuli
mógł się wywlec—zapamiętałe jednak gospodaro-
wał, niedowierzająco, drobnostkowo. Nic nie robił
zresztą, o niczém nie marzył tylko o gospodarce—
gniewając się i chorując od najmniejszego zawodu.
Kłócił się z deszczem, z mrozem, z posuchą, najbo-
leśniej gryząc najłżejszém niepowodzeniem. Klucze
chował pod poduszkę, wymyślał szpiegostwa najcu-
daczniejsze, i koniec końcem, mniej może miał od
pana Tomasza. To go też najwięcej gniewało, a że
braciszek jątrzyć go lubił, nieustannie kochając się,
koty darli o gospodarstwo swoje.

Biedny człowiek musiał się czémś zajmować go-
rąco i cel jakiś nadać życiu chorobą zwiechnionemu—
nieznał całkiem młodości; świat i jego przyjemności
ucieły przed nim, trzeba się było do czegoś przy-
wiązać, z czegoś ukuć dla siebie niezbędny ideał.
Praca gospodarska zaprzętała go tak skutecznie, że
i tchnąć nie miał czasu. Nawet przy gościach, któ-
rzy go zresztą dosyć często odwiedzali, bo gdérliwy
będąc, bywał też wesoły i rad gościom—nieustannie

się od nich odrywał, posyłając ludzi tam i owdzie, wśród najbardziej zajmującej rozmowy, nie tracąc z pamięci co się na boku działo.

Stara sługa ich domu, pocziwa pani Bialkowska, doglądała tego gospodarza niedołęgę; zaglądała też do niego panna Domicella i przesiadywała tygodniami; bywał i pan August skarbiąc dla dzieci łaskę bezdzietnego stryjaszka. Przyjeżdżał błyskawicą i pan Tomasz, żeby go trochę podrażnić, ucałować serdecznie i zniknąć.

Domicella, dziś już nie młoda panna—bo dla panien lata płyną tak szybko—była swojego czasu nadzwyczajnej piękności, a że miała posag dobry i rodzinę pocziwą, wielu się o nią od piętnastego roku począwszy starało—za nikogo jednak pójść nie chciała, wszystkich zrażała zimną obojętnością. Smutna, blada, poważna od dzieciństwa, mogła być posądzoną o jakąś tajemniczą miłość, gdyby najmniejszy pozór dawał temu domysłowi choć cień podobieństwa. Nigdy panna Domicella nie wyróżniła z tłumu wielbicieli (jak to dawniej mówiono) nikogo; dziś, gdy się jój jeszcze trafiali coraz bardziej podtuptani ale niezłe zakonserwowani pretendenci, uśmiechała się tylko, jednakowo wszystkich zbywając podziękowa-

niem i zapewnieniem, że za mąż iść nie myśli. To też stan jój nie zdawał się ciężcyć wcale; pomimo smutku, który się na twarzy zawsze jednostajny, zawsze równie łagodny malował, swobodna, miła, zajęta więcej książką niż żywemi ludźmi. Żyła jakby usiłując oderwać się od tego świata, na który była skazana; starzejąc a raczej starząc się dobrowolnie, z niejaką przyjemnością i chętnie podbiegając przeciwko latom, od których inne uciechy rade, gdyby to można!

Pomimo, że téj starości pragnęła, że ją tak wywoływała, — starość nie przychodziła; nie miała na licu jednéj zmarszczki, nie gasły piękne jój czarne oczy, nie nleciała świeżość dziewicza. Była to jeszcze piękność, którójby nieznajomy dał dziesięć lat mniej niż miała, w którój łatwo mógł się zakochać melancholiczny młodzik i starzec młodzika mający uczucie, do którój przywiązać się musiał każdy co z nią pobyl dłużej. Dziwnéj słodczy charakteru, dobroci i cierpliwości, umysłu wyższego i ukształconego, stała daleko po nad swoimi braćmi, a jeden Tomasz lepiej ją nad innych rozumiał.

Może właśnie ta wyższość umysłowa bardzo widoczna nie dozwoliła jój znaleźć w otaczających ni-

kogo, co by godzien był z nią życie podzielić. Milcząca, smętna, panna Domicella lubiła dzieci i kwiaty; to były, nie rachując książek najulubieńszych, nieliczne przyjemności jęj życia. Dlatego też przesiadywała u Augustowstwa, że tu mogła pieścić ich dziatki, że tu miała swój ogródek; a wreszcie pani Augustowa, zawsze trochę rachunkowa kobięcina, jak mogła ją podpieszczała, myśląc że nie zawadzi jęj posag dla powiększenia fortunki dziecinnęj. Panna Domicella pędziła życie swobodne i gdyby (gdzież nie ma tego nieuchronnego gdyby!)—gdyby nie jęj powszedni nienleczony smutek, co ją nigdy nie opuszczał, rzekłbyś że szczęśliwszej istoty nie było na świecie, tak cicho, nieznacznie, bez wstrząśnień, w marzeniu kwiecistém, wśród szczebiotai dziecięcych i poezyi ich głosków płynęło jęj życie.

I tu jednak było *gdyby*—ten robaczek, pierwotnego grzechu nasionko, co w każdym szczęście ludzkim z niem razem na świat przychodzi.

Zaczelismy tę statystykę familijną od najmożniejszej prawie rodziny Pobiałów, teraz do Zawilskich spieszym, bo ich jeszcze dosyć mamy przed sobą, a jednak czytelnik za nami musi odśpiewać tę litanię imion i przejrzyć szereg obrazków jęj towarzyszą-

cych, boby mu dalszy ciąg powieści był niezrozumiałym.

Po Helenie, żonie niegdy Ignacego Pobiały, o której dzieciach obszerniej mówiliśmy, następował kolejną starszeństwa Kasztelanie *per excellentiam*, Stanisław, mieszkający w Strumieniu. Tego już także znamy. Trzecim z porządku starszeństwa był Józef Zawilski, oddawna zmarły, który w największym ubóstwie zostawił troje dzieci: Jana, Michała i Antoninę.

Pan Józef za żywota był dość niedbały o los i srogi sejmikowicz a hulaka. Niewiele znając, rzucił się był, nieumiejąc swoim dać rady, do cudzych interesów, parał się prawnictwem, plenipotentował, ale że do tego wszystkiego łączył halaburdostwo i upodobanie w hulance i kieliszku, gdy umarł wdowcem, dzieci zostały bez kawałka chleba.

W najętym domku, w którym mieszkał w miasteczku, znalazło się całego spadku kilka starych krzeseł, stół atramentem pobрызgany, stos nieużytecznych papierów, kałamarz nadtluczony, próżnych butelek kupa i troje niebożąt, których wychowanie było więcéj niż zaniedbane, bo ich nikt wychowywać nie myślał: wychowywała ulica, słońce i powietrze. Jasiek

tylko, starszy trochę, pisać umiał, bo go ciągnąć za uszy niemiłosiernie sam ojciec dla pomocy sobie wynuczył. Michaś, drugi, niby chodził do szkółki, ale w istocie po ulicach tylko latał i urwis był niewidziany. Antosię najmłodszą wzięły panny zakonnice jak sierotkę do klasztoru, bo też w istocie za życia ojca jeszcze była sierotą.

Po śmierci pana Józefa zostały dzieci na łasce Bożej, bo niewiele kto z rodziny wiedział o nim za życia i nie bardzo przyznawano się do niego — przypadkiem też dopiero o zgonie jego się dowiedziano.

Ze składki pochowali nieboraka znajomi; Antosia została u Miłosiernych, Jasiiek z Michasiem tulili się przy domku w którym mieszkał ojciec, bez kawałka chleba; August, wypadkiem zasłyszawszy o dzieciach, zajął się trochę ich losem. Jasiiek dostał się do Kasztelanica za usilną jego prośbą (tameśmy go już widzieli), Michała oddano do wojska, bo chyba pod karabin był zdatny; Antosia z małym posażkiem od p. Piotra i Augusta złożonym, wyszła za urzędnika, pisarza w którejś kancelaryi powiatowego miasteczka.

Wiemy jaki jest w znacznej części stan moralny licznój klasy niższych urzędników w całym świecie i u nas, nie będziemy się więc dziwować, że mąż An-

tosi był nieszczęściem największym kręcicielem i najzepsutszym z kancelistów, co niemało znaczy. Mówiono, że ojciec jego był wychrztą, czego zresztą rysy jego twarzy nieznaczące, wykrzywione, zatarte, wcale niepotwierdzały. Płowego brudno-włosa, małych oczek, drobny, suchy, ruchawy, mąż Antosi, pan Sobocki, hulaka, pijatyka, wszelkiego rodzaju zbytkami i pracą niekiedy szaloną, nad siły, bo kilkadziesiąt godzin z rzędu trzymającą go przykutym do stołka — zdawał się zawczasie zużyty, ale w nim jeszcze tlały siły, których dobrym zapasem obdarzyła go natura, a on też niemi szafował, jakby jutra mieć nie chciał. Zupełny brak wychowania nagradzał sobie niesłychaną bystrością pojęcia i zdatnością olbrzymią, która źle pokierowana przeszła w nim w niewidziane matactwo. Byłto pierwszy w miasteczku kruczkotwórca, a za pieniądze byłby ojca sprzedał i matkę, gdyby ich miał jeszcze. Pieniędzy tych jednak nie zbierał — jedną ręką je chciwie zgarniał, drugą rozsypywał najnieporządniej na wszelkiego rodzaju rozpustę. Namiętności miotaly nim jak zwierzęciem, a nigdy nie pomyślał nawet, żeby je hamować potrzeba było lub można. Przyznawane mu przez wszystkich zdolności, dla których wszyscy się

do niego uciekali, czyniły go dumnym i zuchwałym w najwyższym stopniu — wiedział jak był potrzebny. W miasteczku wszyscy się go obawiali aż do starszych, bo zdradzić było dla niego chlebem powszednim, a gdy mu wyrzucano zdradę, śmiał się, najczęściej odpowiadając cynicznie: A kat ci kazał wierzyć! trzeba było trzymać w ręku!

Taki to człowiek, zobaczywszy piękną Antosię, zakochawszy się w niej gwałtownie, po swojemu, gdy się przekonał, że inaczej dostać jej nie będzie mógł — musiał się z nią ożenić. Posag jej małeńki stracił w przeciągu kilku miesięcy, miłość przeszła w pół roku, a życie ich było najstraszniejszą bitwą małżeńską, jaką kiedy oglądało słońce.

Antosia nie wiele była lepszą od niego co do gwałtowności charakteru; dobrali się doskonale pod tym względem i niekiedy porywali się nawet do broni na siebie, tak srogie bywały utarczki. Słowa nie wystarczały im na wyrażenie tego co czuli. W postępowaniu Antosi, prócz gwałtowności i samowolności największej nie było nic zdrożnego — ulegać nie umiała, słuchać nie chciała; zresztą, zajęta dzieckiem, widząc co mąż wyrabia, napróżno usiłując w nim obudzić sumienie, zjadała się tą walką nieustanną i go-

rączkowém życiem. Więcój była nieszczęśliwą niż winną.

Sobocki, to dumny ze swęj żony, o której chętnie mawiał, że choć uboga ale z wielkiej familli pochodzi; to nią utrapiony, bo mu puszczać sobie rugli niedozwalała — nieco się tylko powściągał w obec niej wspomnieniem porucznika Michala, którym go często straszyla Antosia. Zuchwały bowiem gdzie szło o papier, pióro i kancelaryjskie sprawki, bał się palasza i pięści w sposób najpociesniejszy.

Takie było rodzeństwo Jasia, wyglądającego spadku po Kasztelanicu.

Czwartym z familli był pan Samuel Zawilski, któregośmy wraz z synem Rotmistrzem poznali w Strumieniu. Słówko jeszcze o panu Rotmistrzu. Służył on niegdys w korpusie litewskim, w pulku ulanów, który się Wolyńskim nazywał; miał imie dość nieszczęśliwe Fabrycyusza. Było to pieszczone dziecie, bo jedynak u ojca, na którego pan Samuel zlał wszystkie uczucia serca swego; dla niego najcięższėj poświęcił się pracy, i nieustannie na ofiarę się zarzynał.

To dziecie, które rad był widziéc mężem, pojmując doskonale ideał męczyzny, głową, czuciem i czy-

nem górującego nad otaczającym go tłumem — to dziecko zawiodło zupełnie wielkie ojca nadzieje. Bóg nie dał mu zdolności żadnych a zbyt miękkie serce — był to zawsze najlepsze dziecko, syn najpocziwszy i najprzywiązańszy; ale nigdy zrozumieć niepotrafił, żeby człowiek na coś w świecie więcej był stworzony, prócz wesołego żywota, pustej gawędki i wspomniania przyjaciół. Rotmistrz wszystkimi wierzył, prawie wszystkich kochał, lubił wino, tytuł, czasem karty, bardzo konie, trochę kobiety jeśli się do nich stroić nie było potrzeba — a ojca nad wszystko. Na samo wspomnienie pracy, książki lub czegoś podobnego, poważniał, robił się smutny, milczący i widać było, że nie rozumiał o co chodziło.

Nawet nad Idzim Blasem i Don Kiszotem usypiał, ani go Manon z lekturą pogodzić mogła. Pan Samuel, starzej daty człowiek, który wysoko powołanie męża pojmował, i chciał ze swego Faberka, jak go zwał dawniej, uczynić wielkiego człowieka, mocno uczuł tę igraszkę losu, który niedozwalając mu się nawet skarżyć, — bo dziecko pocziwe było i dobre — rzucił mu prawdziwą nicość w miejsce wymarzonego ideału. Długo się męczył walcząc przeciwko niepodobiestwom, wreszcie z rezygnacją chrześcianina

spuścił głowę i rzekł w duchu: — Stań się wola
Twoja!

Ale ten zawód bezsilnej miłości ojcowskiej zatrut goryczą resztę dni jego życia; widział że Rotmistrz pozostanie na zawsze poczciwym a nie nieznaczącym Rotmistrzem. Na to nie było innego ratunku, wedle pana Samuela, jak ozłocić go —pieniędzmi. Talizman ten umie przeistoczyć najpospolitszego z ludzi w bardzo znakomitego człowieka. Rotmistrzowi więc gdy o tem potrzeba było pieniędzy. Widzieliśmy już tę teorię wykładaną usty samego pana Samuela. Cóż go ożenić, chciał go dokompletować kobietą, która by kochając go wiodła, bo Faberek potrzeba przewodnika jak ślepy. Aby go tak ożenić, potrzebny był majątek. Dlatego ostatnią nadzieję pokładając w spadku Kasztelanica, przybył do Strumienia i straż skarbów usiadł przy zużywym starcu.

Pan Samuel był w pokorném ciele człowieka wielkiego serca i duszy, całe życie do surowych ćwiczeń przywykł, do pracy i do walki; ale żadna ofiara cięższą mu nad dzisiejszą nie była. Żyć musiał na łasce, klaniać się pochlebcom i sługom, patrzeć na brata, z którym nic go nie łączyło prócz interesu. Ale dla syna czegożby nie uczynił? Żył więc

w poddaństwie, upokorzeniu, strapieniu, a w dodatku czuł się nadto pocziwym, żeby tu mógł co zrobić.

Rotmistrz z obojętnością najdziwniejszą, niewidząc ani ojca cierpień, ani przykrój zależności swego położenia — polował, jadł, spał, bawił się po sąsiedzkich domkach, i jak skoro miał czém zaspokoić swoje pierwsze potrzeby — nie czuł już by mu co brakło.

Piątym z rodzeństwa Zawilskich był pan Antoni, właściciel wioski na Polesiu, ojciec dwóch synów — młodszy, szlachcic nie majątny, w długach, w kłopotach, w procesach, który dwa czy trzy razy próbował pracować na dzierżawach dla pomnożenia ziem i funduszu — ale zawsze na nich tracił. Właścicielem on jeden z niewielkiej pozostałości po rodzicach — zrobił się czegoś, ale to szczęście służyło mu tylko początkowo i do pewnego kresu; opuściło go zostawiając mu tylko zarozumiałość i wiarę w los już przegrany na zawsze. Od jakiegoś czasu pan Antoni tracił szczęście i zaplątał się w najtrudniejsze przejęcia, z których sam wybrnąć nie umiał. Mało co młodszy (o rok) od Samuela, dziś już starzec — żona — ty był z panną Judką, szlachcianką jak on, która mu 50,000 złotych posagu wniosła i dosyć kłopotu, bo miała się za wysoko urodzoną dlatego, że jeden

Judzki był Starostą, a drugi Miecznikiem. Dom téż chciała gwałtem stawić na stopie odpowiedniej swoim pretensyom do państwa.

Wieczny bój wiedli z sobą małżonkowie o to i zgody w domu nigdy nie było. Jéjmość się pyszniła rodem, gdérała, jegomość upierał, żadne z nich ustąpić nie chciało i do siwego włosa pogodzić się z sobą nie umieli. Pan Antoni dobrym był w istocie człowiekiem, ale nieszczęśliwym — przeciwności których doznawał od ożenienia skwasily go, popsuly mu humor, nabawiły rodzajem desperacyi, która się w każdym przebijała słowie. Jéjmość nauczywszy się tego samego, narzekała ze swój strony. Przeżyli wiek, wychowali dzieci jęcząc i wzajem sobie wyrzucając winy losu. — Gdybym się był z Waćpanią nie ożenił, mawiał pan Antoni, wszystkoby mi było poszło inaczej. — A któż cię o to prosił? miałam ja lepsze partye! — odpowiadała żona, i tak bez końca. Pomimo to kochali się po swojemu, daleko więcej i daleko szczerzej, niżeli się z boku patrzącym na to zdawało.

Na jednéj wiosce z długami życie nie łatwe, ale się wlecze póki o dzieciach myśleć nie trzeba; przyszła chwila że z majątku coś im musieli wydzielić,

bo Paweł dorósł, Hieronim także, a córce, pannie Tekli, trafiało się pójść za mąż.

Państwo Antoniostwo przekonali się o potrzebie ofiary dla dzieci, ale nie bez gderania i wyrzutów wzajemnych na nią się zgodzili. Spłacić brat brata nie mógł, bo pan Paweł nie bogato się żenił, a Hieronim zaczynał dopiero zapamiętałe gospodarzyć; podzielono więc owo Poleskie siolo na dwoje: siostrze Tekli wyznaczono posag ewinkowany na dwóch schedach do wypłaty powolnój, bo szła za majątnego człowieka, który nie bardzo go potrzebował. Państwo Antoniostwo sądząc, że się uszczęśliwią wzajemnie, rozdzielili się także i matka została przy jednym, ojciec przy drugim synu. Stary miał się zawsze z mocy dawnych gospodarskich powodzeń, pomimo późniejszych niefortunnych obrotów, za wielkiego hreczkosieja, przypisując swe straty losowi—postanowił teraz siedzieć przy Hieronimie i jemu pomagać.

Niedługo jednak te układy potrwały; pani Pawłowa niemogła się z matką mężowską pogodzić, pan Hieronim począł ogromnie tracić choć mu ojciec dopomagał, i przyszło do tego, że szczęśliwшему bratu, panu Pawłowi, jak to zaraz zobaczymy, odstąpić

musiał część swojej części, a sam przy trzech tylko chłopkach pozostał.

Ojciec, który w końcu swój niesfortunnój gwiazdzie przypisywać zaczął niepowodzenie syna, porzucił go, a że mimo iż się jedli wzajemnie starzy małżonkowie, tęsknili za sobą i czuli potrzebę wzajemnego gdérania, do którego byli przywykli, wynieśli się więc oboje razem do miasteczka, najawszy dom i utrzymując się w nim z małej pensyjki, którą płacili im synowie i córka. Tu sobie całe dnie spędzali na rekryminacjach i wspomnieniach, na żalach i *gdybach*.... ale pomimo ciągłej kłótni, obejść się bez siebie nie mogli.

Pawłowi, starszemu, poszło dobrze gospodarstwo, choć się o nie zbyt nie frasował, lubiąc kompanijki na równi z żoną parafianką a elegantką, która mając się za piękną, ze swoją pięknością nosiła się i woziła ile tylko mogła. Bawili się tedy państwo Pawłowie — i szło im jak z płatka. — Hieronim pracował jak wół i nie wiodło mu się. On się wyprzedawał, tamci kupowali. Już do trzech chatek tylko ograniczywszy połowę swój wioski, pan Hieronim mówił sobie w duchu, że ubogi nigdy się nie ożeni, a kawałek chleba choć suchy i twardy wystarczy dla nie-

go, i tak z weselem pocziwém szedł dalej, w pocie czoła na siebie pracując, gdy niespodzianie postanowienie to zachwianém zostało. Zobaczył żonę swoją, ubogą jak on dziewczynę, pokochał ją i olbrzymią odwagę natchnęła mu miłość — ożenił się. Ona nie miała krom młodości, wdzięku i pocziwego serca; on nie nad kawałek ziemi i ręce do pracy przywykłe; pobrali się, biedowali, a czworo dzieci w tém gniazdeczku ubogiém wołało do nich: chleba! światła! losu! głosem rozdzierającym ich serca. Pan Hieronim pracował, resztę na Boga zlecając. Widzieliśmy jak mimo strapień, niedostatku, kochali się ubodzy małżonkowie, w maleńkim dworku pod lipami.

Brat Paweł nierównie zamożniejszy, bo się z jakim takim posagiem ożenił — lulał sam i dozwalał bawić się żonie. — Bóg mu dał tylko jedną córkę, która już dorastała i miała wyjść na świat.

Siostra Hieronima i Pawła, panna Tekla, wyszła jakieśmy wspomnieli, za dosyć majątnego człowieka. Byłto posiadacz trzech wsi w głębokim Polesiu, niejaki pan Żmura, ex-wojskowy, mający do tysiąca dusz w bagnach, piaskach i zaroślach, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni, bo do dwóch tysięcy włók ziemi obejmującej. Dobra te, pomimo swój rozległo-

ści, niedawały tyle przychodu co jedna wioska wołyńska z dwócliset dusz złożona, i pracować było potrzeba dobrze, żeby ze smoły, gorzelnii, browaru, sukienni, dziegciarni, fabryk potażu, najmu flisów, wyrobku ostatków drzewa po wielkich niegdyś lasach, a wreszcie rolnictwa, na jałowej ziemi niewdzięcznego, wyrobić około trzydziestu tysięcy czystego dochodu z wielkim kłopotem i biedą. Dla ubogiej jednak panienki jaką była Tekla, za-mąż-pójście takie było bardzo świetnym; mąż jej przytęm był dobry człowiek, trochę popędliwy, trochę zawadyjak i rozkazujący, do czego służba wojskowa i odludne mieszkanie go wdroszyły — ale zresztą serce pocziwe. Państwo Żmurowie zakopani byli w swoich dobach poleskich tak, iż świat ich niewidział nad parę razy w rok — trzeba bowiem było najszczęśliwszych okoliczności, to jest bardzo suchego lata lub bardzo mroźnej zimy, żeby się do nich do Rohoży dostać, lub zamtąd wydobyć. Droga w lecie płynęła jednym niemal ogromnym brodem; w zimie rzadko była dla moczarów, źródlisk i oparzelisk przystępną. Siedzieli na odludziu zupełnie, przywykli do ciichłej swjej pustyni, w towarzystwie siostry pana Żmury, wdowy, pani Pachniewiczowej, niegdyż żony ja-

kiegoś jenerała, która opowiadając im dzieje swęj dawnęj wielkości, ubawiała ich i chowała im dzieci, a tych było dwoje.

Pozostaje nam jeszcze wspomniéć o ostatnim z rodzeństwa i téj długiej imion litanii, najmłodszym, panu Piotrze Zawilskim, na którym skończymy lik aż nadto zapewne czytelnikom uprzykrzony. Piotr w dzieciństwie był na opiece pana Samuela i przez niego w świat pchnięty został. Rzucił się naprzód do małych dzierżaw i utrzymywania interesów, ale mu los poszczęścił nadspodzianie. W jednym z domów bogatych, do których uczęszczał jako plenipotent, potrafił ująć serce jedynaczki, dziedziczki znacznej fortuny, panny Maryi Strzelskiej.

Piotr był nadzwyczaj pięknym i miłym mężczyzną; nie dziw, że się mógł podobać, bo i rysy twarzy i postawa, i charakter słodczy pelen, malujący się w obliczu jego, czyniły go tak ujmującym, że oczy i serce pociągał na pierwsze wejrzenie. Pan Samuel wychował go, wypieścił jak własne dziecko, jak własne dziecko wychował, a tu mu się lepiej jak z Rotmistrzem udało. Piotr wyszedł na świat z ochotą do pracy i postanowieniem dorobienia się czegoś z pięciu tysięcy złotych, które miał w kieszeni; wziął malutką dzier-

zawę, począł razem pilnować interesów, i los chciał, by na pierwszym wstępie udało mu się poznać dom Strzelskich.

Wdowa po panu Podezaszym Mateuszu ze Strzelna Strzelskim, i córka jedynaczka, Marya, całą tę rodzinę składały. Wdowa była kobietą wielkiego świata, wielkiej cnoty, rozumu i pobożności. Zawikłana w przykre interesa a najbardziej w proces graniczny, tém ważny, że kilkadziesiąt włók towarne go lasu było w kwestyi, zmuszona została szukać człowieka czynnego, któryby się zajął jej sprawami. Kasztelan Zawilski podobał się jej na pierwszy rzut oka. a bardziej jeszcze córce. Ale jemu się nie śniło by mógł kiedy sięgnąć po rękę pięknej Maryi. W ciągu lat trzech proces o granice został przeprowadzony przez wszystkie instancje i ostatecznie wygrany; poznano lepiej w codziennych stosunkach pana Piotra. Piotr niewiedzieć jak (bo sam nie umiał się wytłómaczyć ze sposobu, którym do tego przyszedł) oświadczył się, został przyjęty i ożenił się z dziewczką wielkich włości i wielkiego imienia, z ogromnym hałasem, podziwem i krzykiem wszystkich co się o nią ubiegali. Otrzymał on po żonie klucz Zręby, na wpół wołyński, wpół poleski, przez któren

płynęła rzeka splawna; obfity w lasy towarne, z powodu blisko dwudziestoletniego procesu oszczędzone, bo obie strony ich strzegły, tak że po sprzedaży belek i klepki, wszystkie dłużki pana Podczaszego spłacone zostały i kapitałik jeszcze się pozostał. Tymczasem wdowa umarła, pan Piotr i to co pod jej żywociem było, objął w swoje władanie. Byłto dzisiaj bardzo majątny człowiek, ale go już liczna dość familia obsiadła, miał bowiem trzy córki i syna. Żadna z tych córek, pomimo wdzięków i obietnicy znacznego posagu jeszcze była za mąż nie poszła; najmłodszy syn, Stanisław, kończył właśnie staranne wychowanie, którego mu rodzice nie żalowali. Trzy panienki: Józefa, Marya i Hortensya, piękne, wychowane starannie i nie ubogie, czekały przeznaczonego im losu i nie jedno westchnienie wyrwało się już z piersi rodziców, zawsze trwożnych gdy córek przedko za mąż wydać nie mogą.

Pan Piotr był dotąd jeszcze pięknym owym i miłym mężczyzną, co się umiał podobać pannie Podczaszance; lgnęli do niego ludzie, miał bowiem dar szczególny zyskiwania sobie ich serc, wejrzeniem, słowem, uśmiechem. Łagodnego charakteru, wielkiej powagi i rozsądku, prawy i poczciwy, dla żony

był mężem najserdeczniejszym, uprzedzającym jęj żądania, zawsze jeszcze kochankiem. Marya, gdyby nie los córek, którym się zbytecznie trapiła, nienastannymi postami i nowennami na intencyą Józefy, Maryi i Hortensyi dokuczając niebu, byłaby najszczęśliwszą z niewiast.

Ale każdy musi mieć w życiu jakieś strapienie, jeśli nie istotne to zmyśłone, tak ta gorycz potrzebną jest nieodbicie przyprawą każdego losu. Pani Piotrowa wychowawszy córki po Bożemu, uczciwie, skromnie, doczekawszy się téj pociechy, że jęj wyrosły hoże, zdrowe, pocziwe i pobożne, trapiła się teraz nieustannie co z niemi zrobi.

Biedna matka tak się uśmiechała do kawalerów, tak o nich marzyła, tak ich szukała, że aż pan Piotr ten jęj niepokój uśmierzać musiał ciąglemi przypominieniami woli Bożej i Opatrzności. Ale te niewiele pomagały, a jak na przekorę nikt się nie zjawiał, nie wiem czemu; może dla tego, że właśnie w średnim stanie, w domu zamożnym, gdzie córek jest kilka nie zbyt bogatych a starannie wychowanych, zwykle o wydanie ich najtrudniój. Ubogi szlachcic nie pokusi się o nie, bojąc się wymagań familii, przywyknień panny, stosunków co by go podrujnowywa-

ły; bogaci szukają bogatych, a o kochaniu i zakochaniu w terażniejszych ciężkich czasach — gdy ogólnie biorąc wszyscy są starzy nim dorosną — o kochaniu jakoś niesłychać. Kwitły więc piękne panny Piotrówny, kwitły rodzicom i sobie, darmiuteńko się rozwijając z wielką matki obawą. Dawano bale, wieczory, spraszano po cichu na imieniny, a panna Józefa, miała już lat dwadzieścia i dwa! Pani Piotrowa z dwudziestym trzecim jój rokiem powoli siwić poczęła, biedaczka.

Staś tymczasem uczył się i wesoło na świat poskoczyć gotował.

Taki był skład rodziny téj w chwili kiedy się nasza powieść poczyna; familia była jak widziny liczna i w różnych położeniach, po rozmaitych klassach społecznych rozpierzchła — to właśnie stosunki jój z sobą utrudniało. Znali się, wiedzieli o sobie, ale rzadko bywali u siebie; każdy zrobił już sobie kółko własne i w niém żył otoczony nową rodziną, nowymi przyjaciółmi.

Z rzadka trafił się krewny jak gość i niknął po tém z oczów na długo. Prócz pana Samuela, reszta z Kasztelanicem żadnych ściślejszych stosunków nie miała; słyszeli o nim, lecz nie widywali go prawie.

Rozsypani po Polesiu i Wołyniu, rozdzieleni znacznymi przestrzeniami. Zawilscy rzadko się nawet przypadkowo spotkać mogli, a węzeł krwi spajający ich los codziennie osłabiał.

Mówiono szeroko o milionach Kasztelanica, o zagadkowym ich pochodzeniu, o nieodgadnionej przeszłości, o dziwnym jego życiu, skąpstwie, chłodzie i zaprzędaniu domownikom — wszystko to odpychało od niego i nikt, prócz biednego Samuela, nie był nawet ciekawy zajrzeć do Strumienia. W chwili więc obecnej niewiele o stryju więcej nad sąsiadów i obcych wiedzieli członkowie rodziny Zawilskich, gdy przypadkowo bytność pani Hieronimowej, i polecenie jej dane przez pana Samuela, zwrócić miało oczy wszystkich na tego, po którym każdy miał się prawo spodziewać jakiegoś cząsteczki spadku.

VI.

Późnym wieczorem wyszli państwo Hieronimowie na przechadzkę za wrota swojego domku, puściwszy dzieci przed sobą, żeby się niepodsluchiwani swobodniej rozmówić mogli, a niecierpliwy pan Hieronim zapytał żony:

— No, powiedz-że mi Kostusiu droga, jakże to wszystko było?

— Tak tedy, mój serdeczny Hieronimku — odezwała się cichutką kobiéta — wyjechałam z domu jak wiesz i z nadzieją i bez nadziei. Śniło mi się chwila-mi, że tego bogatego, bezdzicznego starca, a tak bliskiego krewnego, potrafię zmiękczyć, ulitować, wy-

prosić co u niego dla dzieci; to znów przychodziło mi na myśl jak to z ludźmi trudno. Widziałam przed sobą niepodobieństwa i rzucała z obawy w złote sny... dojechałam do Strumienia. Wielkie tu zastałam państwo, dwór, sale, kamerdynery... aż strach!

— I istotnie tak bogato...

— O! bogato, a skąpo — ludzie niby rej wodzą, ale uad niemi wszystkimi żelazna ręka starca... Ci ludzie! a! ich niegrzeczność, zuchwalstwa, ich upokarzających min, opisać ci niepodobna! Miałam nadzieję w panu Samuelu, w Jaśku, ale Jasiek, choć może tam wiele znaczy, bo się stał potrzebny, nie zrobić nie chce, zimny, twardy i zamknięty jak kamień. Samuel pocziwy, ale on tam nie nie może — nawet dla siebie. W początku jednak, że niebardzo znam świata i ludzi, gdy mnie bardzo grzecznie przyjął, gdy sam Kasztelan do stołu prowadził i na pierwszym miejscu sadzał, dogadzał, wypytywał, bawił, myślałam, że pójdzie jak z płatka. Dopiero pan Samuel wywiódł mnie z błędu — wszystko jak się zaczęło tak się skończyło na pustych grzecznościach. Do Jaśka niedostąpić; zupełnie się uformował na stryja: grzeczny zdaleka, zbył mnie całując w ręce i kłaniając się. Przez ludzi, którzy Kasztelanica ota-

czają, i nie mogłam i nie chciałam nic robić... bo to i zuchwałe i dumne. Terminiński, kamerdyner — panna Aniela, faworyta, Jasiek co z nim gra w warcaby i nowinki mu nosi, Bulwa, rządca, pokorny do podłości a złodziej jak mówią... nie dla mnie to protektorowie.

— No, ale przecież stryj Samuel? — spytał pan Hieronim.

— Stryj Samuel, jakem ci już mówiła, zupełnie tu nie znaczny; stęka i on, chciałby co wyrobić dla Rotmistrza, choćby tymczasowo jaki kątek gdzie w folwarku odległym, a i tego nie może. Stary dla syna znosi niewyliczone upokorzenia od téj zuchwałéj czeladzi, i już mu to tak dokuczyło, że ostatniego wieczora całkiem mi się zwierzył.

— Mówiłaśże co z Kasztelanicem o nas? — przerwał Hieronim.

— A jakże! zebrałam się na tę odwagę, choć Bóg widzi co ona mnie kosztowała! Prosić! prosić, o! co to za rzecz straszna! I prosiłam go, wyobraź sobie, a on — odmówił mi składając się ubóstwem, niemożnością i odsyłając nas... do testamentu!

— No! ale wspomniał o testamencie?

— To, mówią, jego zwykła śpiewka, gdy się

chce kogo pozbyć. — Na ten testament czyhają wszyscy — Terminiński intryguje, pracuje Aniela, płaszczy się Jasiek.... Stary może, jak mówi Samuel, wszystkich oszukuje i trzyma na sznureczku obietnicami; co zrobi, nikt nie wie.

— Jakże wygląda Kasztelaniec?

— O! stary już bardzo, zwiędły, wymęczony, ale ję okropnie i myśli tylko o sobie. Wszystko u niego co do minuty i sekundy obrachowane; w domu jak w zegarku, stół przewyborny — zresztą, pod państwem czuć skąpstwo. W koło aż strach, porozstawiane sieci, otwarte oczy, rozpostarte ręce.... oczekiwanie śmierci ohydne.... zabijają go oczyma. Pan Samuel na to patrzy i powiada, że dalej rady nie da; zapewnia on, że Kasztelaniec bogaty bardzo, że miliony gdzieś leżą u niego co rok rosnące, ale jeśli się niedopilnujemy....

— A jakże się możemy dopilnować, kiedy do niego dostać nawet niepodobna?

— Jak? otóż posłuchaj co mi mówił pan Samuel, a zrobisz potem co zechcesz, boś ty głowa i poradzić musisz jakoś. Tam, jak stryj powiada, potrzeba kogoś bardzo zręcznego, uczonego, coby potrafił Kasztelaniecowi się podobać, przywiązać go do sie-

bie — choć to bardzo trudno — co by oko miał nieustanne na intrygi i poświęcił się dla rodziny... Inaczej wiesz co być może? Panna Aniela, niepoczciwe i niezdolne stworzenie, powoli nieochybnie starca opanuje; ona i Terminiński razem się zwiążą, gotowi starego ożenić... gotowa mieć dzieci, a naówczas nam się i złamany szeląg nie dostanie.

Wzdrygnął się pan Hieronim.

— E! — rzekł z niechęcią i oburzeniem, to są brudy, w których złota szukałbym niechciał dla moich dzieci! Ubogi jestem, ale małoż uboższych od nas? Przyznam ci się, że to wszystko trąci mi niepocziwą intrygą i podstępem, do których mieszać się nie mam ochoty. Niech bierze po nim kto chce...

— Zmiluj się mój drogi — powoli biorąc go za rękę odpowiedziała żona — zrobisz sobie jak zechcesz, ja cię do niczego namawiać nie myślę; ale że to nie o nas jednych chodzi, ale o wszystkich Zawilskich i Pobiałów, co mogą iść do spadku po Kasztelanicu, przynajmniej się z nimi poradź, powiedz im co pan Samuel polecił, i poczniesz sobie jak zechcesz...

— Widzisz, moja droga Kostusiu — rzekł po namyśle mąż — niechciałbym już nawet całkiem ocierać się więcej o tę kalużę. Ubodzyśmy: da Bóg co

daremnika z tego spadku — ha! to dobrze! a wezmą go obcy — niechaj sobie biorą! Te miliony mi nie pachną. Nikt nie wie pochodzenia téj ogromnéj fortuny Kasztelanica; kto zgadnie jak to przyszło? — niechciałbym tknąć grosza źle pozyskanego; boję się tego dla dzieci.

— Mój ty drogi pocziwcze — ściskając go zawołała żona ze łzami — mówisz święcie, to prawda..... ale te dzieci! te dzieci..... co ich czeka?

— Cóż ich czekać może? praca tylko — odpowiedział pan Hieronim. — Nie trwożmy się zbytecznie; patrzałem długo na świat, mój Aniele, i wiem się na nim dopatrzeć rzeczy, które się może śmieszne wydadzą wszystkim, a dla mnie są świętą prawdą.

— Naprzykład?

— Powiem ci naprzód, złota Kostusiu moja — że majątek doprawdy to rzecz tak imaginacyjna, jak wiele dóbr, za którymi się ubiega człowiek.

Biedna kobiéta z za łez się rozśmiała.

— Ej! Hieronimku — rzekła — coś mi wyglądasz na tego lisa, o którym to jest bajka, co się jój nasze chłopcy uczą.

— Nie kochanie; posłuchaj mnie tylko uważnie. Niéma granicy bogactwa żadnéj; każdy jeszcze przed

sobą ma coś do nabycia. Każdemu zawsze mało. — Ubóstwo poczyna się dopiero gdy dusza przez nie cierpi — i ciało wędnieje, gdy dzieciom brak wychowania i chleba. Myśmy jeszcze nie ze wszystkiém ubodzy.

— A! możnaż być uboższym?

— Można, serce. Naszych chłopców wychować podaliśmy choć nie świetnie, a bądź pewna że najprostsze wychowanie bywa czasem najlepsze; zmusza do pracy. Dziewczeta będą nam pomocne w domu.... i — zobaczysz Kostusiu! damy sobie rady z pomocą Bożą.

— Ale czyż takbyś chciał chłopców wychować, jak teraz możesz?

— I tu się z tobą niezgadzam, Kostusiu — powtórzył Pan Hieronim — i wychowanie to także rzecz, której nie pojmujemy jasno. Dajmy im głowy otwarte, serca nie zepsute, w domu wiarę na wyprawę i dobry przykład jako wzór — resztę zrobi Bóg. Wiesz Kostusiu kochana, że z wielkich owych starań i skakań koło dzieci, z troskliwych o nie zabiegów, najczęściej nic się nie rodzi prócz zawodu. Patrz co pan Samuel robił z Rotmistrzem, a wieluż wielkich ludzi o suchym chleba kawałku, w prostej

szkółce, od bakalarza pierwsze światło odebrali—sami potem to nasionko rozwijając.... Serce pocziwe, talent od Boga dany, więcej znaczą niż wszelkie starania ludzkie.

— Niech i tak będzie — odpowiedziała żona z westchnieniem — ty to wiesz lepiej; ja nad tém tak mądrze nie myślałam. Ale powiedz mi jak damy rady chłopcom choćby najskromniej? ich jest dwóch!

— Oddamy do szkół, a jeśli im nie starczy na wychowanie to co mam, prosić nikogo nie myślę: pójdę służyć.

— Ty! służyć!

— Ja! ja! cóż to dziwnego — odpowiedział pan Hieronim — to tylko bieda — dodał ciszej — że wszyscy wiedzą iż z połowy wsi zszedłem na trzech chłopków, a nikt nie wie ile mi pracy ta ruina kosztowała. Nie mogę inaczéj służyć jak za Rządcę, za Ekonomia, bo to tylko znam lepiej — a któż mnie weźmie wiedząc że moje utracił?

Żona zamilkła; w cichości przeszli kroków kilka.

— Jakoś to będzie — przerwał pan Hieronim rozweselając się — na chłopców mi więcej nie potrzeba do powiatowej szkoły jak tysiąc złotych; jużby chyba Bóg nie łaskaw, żebym tego nie miał.

— Ale my, z czegoż się utrzymamy?

— O! zachciałaś! chleba nam starczy, wody jest dosyć..... tylko mi ciebie żal, że ty się zabiedujesz.

— Myśl ty o sobie i dzieciach; jam w ubóstwie wychowana i do ubóstwa przywykła, jam do tego nie od dziś przygotowana.

— No! to bądźże spokojna; ja także sobie rady dam.

I uściskali się ze łzami w oczach, ale z pocziwą nadzieją w sercu.

— No! a cóż będzie z poleceniem pana Samuela?— spytała po chwili Hieronimowa.

— Trzeba pomyśleć — musimy o tém oznajmić familii, kiedy nam to poruczono; ale komu? — rzekł namyślając się pan Hieronim.

— Wszystkim to trzeba powiedzieć — zawołała żona.

— Tak, to się łatwo mówi— odezwał się mąż— ale niewiele z naszych krewnych bliżej znamy; do kogo tu się udać? Czy samemu czas tracić na przejażdżki? teraz? pod żniwa? to niepodobna! Nie radbym się do tego mieszać— oznajmić jednym, drugim nie mówić, źle; wszystkich zebrać ani myśleć; nie widzę rady, potrzeba namysłu.

Wspomnieliśmy już, że jedna wioska była dziedzictwem Antoniego, ojca Hieronima i Pawła; że w niej z dwóch równych sched w początku, Paweł teraz posiadał znacznie większą, a Hieronim został tylko na trzech chłopkach i dwudziestu morgach łąnu. Jak się to stało, Bóg jeden wiedział, Bóg co zsyła niepowodzenia, zawody i straty; każdym dotknięciem mając na celu wyższe dobro człowieka. Hieronim nie miał żadnej wady charakteru, żadnego nałogu, nie przyczynił się w niczem do swojego nieszczęścia; przecież stracił większą część tego co miał początkowo. Paweł przeciwnie, z żoną zalotną, sam trochę hulaka, gospodarz nieosobliwy, nadewszystko próżniak, rosl w mienie sposobem niepojętym i niezasłużonym. Są na świecie rzeczy, które się inaczej tłómaczyć nie dają tylko wolą Bożą, wolą opatrzną, która w pozornie złém, ma na celu istotne dobro. Ciekawa to przecie historia téj straty majątku, o której tylkośmy napomknęli.

Hieronim i Paweł wzięli równe działy, schedy zrobili po bratersku, z tą różnicą, że starszy wziął dwór i zabudowanie ojcowskie, których młodszy chętnie odstąpił za młynek i stawek, dający około tysiąca złotych rocznego dochodu, prawda, że wziął

też i utrzymanie grobli, które go kosztować miało. Ale Hieronim był dobrym bratem, kochał Pawła, poświęcał się ochotniej niż inny i niemyśląc się żenić jeszcze, całkiem był dla niego wylany. Osiadł on w początku na połowie, która pozornie zdawała się być lepszą nawet, bo miała ów staw i młynek, miała sianożęcie gruntowe, pola których nigdy nie zalewało, choć trochę piaskowate to prawda. (Nazywano to dla pomalowania wyśmienitym hromoszem). Wziął też lasu część zaszczędzoną, dalszą i bagnistą, a znawcy winszowali mu dobrego działu. Na swójć schedzie miał ciężaru piętnaście tysięcy summ duchownych i długów prywatnych, kilka tysięcy siostry Tekli i pensyjkę rodziców. Tak tedy gospodarzyć poczęli oba. Hieronim pracował od rana do wieczora, świata się wyrzekł z dobrćj woli, bo bawić się nie lubił — czasem tylko z fuzyą i psem wyszedł, i to była cała jego rozrywka, a i to szło mu na korzyść, bo swoje lasy, sianożęcia i sterty obchodził. Brat Paweł starał się o żonę, kochał, jeździł na wieczory i szydził trochę z pocziwego Hieronima, mówiąc:

— Co, ty chcesz z ziemi złoto wykopywać? będziesz je jadł czy co? Gospodaruj jak ja, dość będzie

z ciebie.— Hieronim odpowiadał nawzajem choć łagodniej:

— Mój drogi, porzuć baliki i wieczorki, pracuj ze mną; wyjdziemy z długów, pożenim się, a grosz zebrany zda się.

Ale oba jak poczęli tak szli dalej. Tymczasem panu Pawłowi nasunęła się na oczy owa piękność, która miała zostać jego żoną. W ogólności, nie życzyłbym nikomu żenić się z okrzyczaną pięknoscią—piękność ma roje kochanków zwykle; jednemu oddając rękę ma zapasy żalu, ma gotową prowizję smutków i westchnień po tych, którym musiała odmówić, nie mogąc wybrać więcej nad jednego; przywykła do hałasów i uwielbień, do pochlebstw i nadszakiwań nie łatwo się ich wyrzeka; zachciewa jęć się w świat, na kwestę po nowe oklaski i daj Boże, by tylko — po oklaski. Często zaczyna się najniewinniej, a kończy łzami i wstydem.

Pan Paweł, że to był człowiek namiętny i ślepy, wcale na to wszystko nie zważał, żeniąc się z panną Julią Mizner. Ojciec jęć, przybysz jakiś do kraju, w czasach kiedy to się jeszcze łatwo było wyszlachcić, byle kto surdut nosił — z kupca gdzieś tam w większym mieście, został za długi sklepowe wła-

ścicielem schedy w eksdywizyi wielkiego pana. Staremu uprzykrzyło się siedzieć za stołem i wyniósł się na wieś, sprzedawszy handel, przez co samo został szlachcicem. Jedyna jego córka, panna Julia, była śliczną dziewczeczką, a że młodsze latka spędziła w mieście, że zawczasu oczkami strzelać się nauczyła, zalotną była prawie nim cel zalotów rozumiała. Nie ubogi, nie bogaty, posądzany o ukryte kapitały, stary Mizner chwycił za poly pierwszego lepszego osiadłego obywatela, żeby się córki niepokojącej go z domu pozbyć. Jeździli za nią i bogatsi, swatali się liczni, ale jakoś stary znawca obwęchał zięcia najdogodniejszego, i żywo wydał za Pawła córkę, wśród rozpoczętych tryumfów ubraną w czépek zawczasu.

Pan Paweł był szczęśliwy, bo nie dalej nie widział; szczęśliwi byli państwo Antoniostwo starzy, choć im córka kupca niezbyt przypadła do smaku, ale rachowali na sukcesyę tajemniczej szkatułki, więcej niż na ową część w ziemi niewielką. Tandem, ledwie córkę ciężką do pilnowania z domu wypchnął, stary Mizner, który dotąd był skurczony, zbiedzony, starzał się i kaszłał, odprostował się nagle, orzeźwiał cudownie i — ożenił się z upatrzoną wdówką.

Wdowa także rachowała na szkatulkę, a w rok

potém panna Julia miała siostrzyczkę śliczną, której dano imię Róży. Pan Paweł strasznie nos spuścił na kwintę, bo posag żony zmniejszył się do dwudziestu tysięcy, z których połowa miała być wypłacona po śmierci, a druga połowa po zmartwychwstaniu, jak mawiał nieboszczyk Józef Zawilski. Żona mu została ze swą pięknością, z gorącym pragnieniem coraz nowych zabaw i z córką, którą im Bóg dał rychło. W prędcie się po tych zawodach pocieszywszy, szedł dalej pan Paweł po świecie, tak wesolo i nieopatrzenie jak przedtém. Jednakże wiodło mu się jak z platka. Spojrzmy tymczasem co się działo z Hieronimem.

Hieronim pracował ciężko, ale zaraz pierwszego roku woda groblę mu uniosła i miał wielki na nią wydatek, pożyczył, zrobił nową śluzę i nasyp, a o dług, na przyszłość rachując, nie bardzo się obawiał. Następnego roku grad palnął po zbożach i wybił je do szczętu, tak że paszy nawet nie wiele zebrano; u pana Pawła też sama burza nieco tylko oziminę przetrzepała, grad był jakoś rzadszy i z deszczem, a że ceny trafiły się wysokie, wziął dobrego grosza i bratu na nasienie coś odstąpił po niemiejszych. Po gradzie przyszedł pomorek na bydło w jesieni—zasiewy były nie dobre, znów nieurodzaj; mówiono że Paweł

sprzedał bratu coś stęchłego. W przeciągu pięciu lat klęsk, które omijały pana Pawła, Hieronim przyszedł do tego że mu już długi kością w gardle stały.

— Ha! — pomyślał sobie — kiedy taka wola Boża, lepiej mieć mniej a czyste.

Jakoś się zeszli z Pawłem.

— Słuchaj Pawelku — rzekł — ty masz podobno kapitalik, mów szczerze, bo to nie chodzi o pożyczanie.

— A mam — rzekł brat z uwagą wpatrując się w Hieronima.

— Kup u mnie połowę mojej połowy.

— Czemu nie?

— I stawek i młynek.

— Chętnie, byleś wziął i groblę.

— Pogadamy.

— Pogadamy!

W tydzień robota była skończona, ale pan Paweł wziął więcej trochę niż połowę, przejął na siebie posag siostry i Hieronima zostawił na nie spełna dziesięciu chatach. Gdy przyszło się rozplacać, żeby przy czystém zostać, jak chciał Hieronim, pokazało się że kilku dłużnikom podolać nie było można, bo ich się

jakoś przyzbierało.— Kosztów sprzedaży i procentów nie liczył, kwitków drobnych nie rachował, myśląc je zbyć intratą, a że, gdy gruchnęło o sprzedaż, wszyscy się rzucili odbierać swoje, został z kilkuset rublami na stęplowy papier wniesionemi.

Paweł zaś, jak tylko posagu siostry wziął na siebie spłatę, ruszył zaraz do państwa Zmurów do Rochoży, o mało się nie utopiwszy na przepławach; exwojskowemu szwagrowi starał się przypochlebić— polując z nim i pijąc kilka tygodni; siostrę chwycił za serce czułością, odmalował swój stan ciężki, swoje ubóstwo, obowiązki względem żyjących rodziców i wytargował się tak, że go pokwitowano razem z Hieronimem z posagu, którego jak sam mówił, nie był w stanie zapłacić chyba za lat kilkanaście.

Hieronimowi z téj wspaniałomyślności pana Zmury ani grosz nie wpłynął, cała ta robota nawet była zakrytą przed nim. Gdyby to nawet i doszło do niego wówczas, nie byłby się może upominał o swoją część darowizny, bo poczynił powtórne najodważniejsz gospodarstwo na dziesięciu chatach, z dłużkiem znowu, i nie wychodząc z trybu zwykłego, w trzy lata potem przez nieurodzaje, przez szachrajstwa ludzi co z nim do czynienia mieli, przez proces jakiś z sąsia-

dem, który pod pozorem że jego chatki więcej dotykał, sam za brata i za siebie podejmować musiał — tak podupadł, że sam się zaofiarował znowu chat siedm sprzedać bratu. zostawując sobie tylko trzech najzamożniejszych i najulubieńszych gospodarzy.

Ale teraz już brat Paweł nie był tak skory do nabycia, wiedział że mu tam nikt pod bok wejść nie zechce: skwierczał, pisał i ledwie dał się uprosić, że na wpół darmo wziął resztę, a długi braterskie spłacić się zobowiązał. Pan Hieronim jeszcze nie myśląc się żenić, został z trzema chatami, wesół i szczęśliwy, znowu pracując zapamiętałe, bo praca była jego życia potrzebą.

Wtenczas to dopiero zobaczył swoją Kostusię, a miłość ich musiała być gwałtowna, kiedy oboje ubodzy pobrali się, nieobawiając podwójnego niedostatku, a pan Hieronim nie przeląkł się nawet wielkich obowiązków jakie brał na siebie, nie prawie nad pracę swoją niemając do podziału z żoną, na przyszłość, dla spodziewanych dzieci!

Al! to też niezrażony niczém, na pracę swą rachował jeszcze, niechęąc uwierzyć, że do niej nieodbitym pomocnikiem musi być los.... musi być trochę

tego cò zowią szczęściem, a co w istocie jest rozumném zrządzeniem Bożém.

Stosunki Pawła z Hieronimem, po tych wszystkich przejściach, przy nierówném położeniu, a tak bliskiem sąsiedztwie, nie mogły być zbyt przyjazne; bo kogoż nie poróżnią w końcu interesa, nieustanne spieranie się i ludzie łaskawie pośredniczący? Hieronim był najczulszym bratem, składał wszystkie winy na Pawłową, a Pawłowa w istocie uboższego krewnego i żony jego cierpieć nie mogła. Dlaczego? nie wiem; może iż w naturze kobiét bardzo pięknych, przywykłych do czci, jest coś co nie cierpi obok żadnej wyiszości. Czula ją Julia w Konstancyi i nienawiedziła bratowój męża. Jój ubóstwo, rozsądek, dobroć i miłość jaką miała u ludzi, zwiększały coraz wstręt początkowy. Im bardziej też ubożał Hieronim, tém go więcej Julia niecierpiała, utrzymując, że im czyni wstyd swoją pracą, upadkiem, suknia nawet!! Paweł nieustanném klektaniem żony może nieprzekonany, ale zniechęcony, choć nie zupełnie z nim zerwał, ale bardzo dla niego zobojętniał.

Od niejakiego nawet czasu niewidywali się z sobą, z powodu jakiegoś bydła zajętego w szkodzie

przez Hieronima, za które Paweł zniszczywszy niém zboże, zapłacić musiał.

Pomimo to, wiedzano doskonale w jednym dwor-ku co się w drugim działo, bo ludzie ciekawi dla przypochlebiania się donosili Pawłowi o Hieronimie, Hieronimowi o Pawle; wiedzano też dokąd i po co jeździła pani Hieronimowa, a Paweł ruszał ramionami dziwując się, iż Hieronim na to pozwolił; sama zaś Jéjmość niecierpliwiła się oczekując powrotu bratowej. Z czém jednak wróciła, jak była przyjęta, ludzie donieść nie mogli, bo zawiedziona matka strapienie swoje zachowała w głębokiej tajemnicy, pokrywając je twarzą wesołą.

— Juściz — odezwała się, ciągnąc dalej rozmowę którąśmy dla tych objaśnień przerwali, pani Hieronimowa — naprzódby potrzeba może o tém Pawłowi powiedzieć.

— Pawłowi! — powtórzył mąż — zapewne, ale jego Jéjmość i on śmiać się z nas będą tylko i sprawiedliwie, żeśmy z kwitkiem od Kasztelanica wrócili.

— Nie zupełnie z kwitkiem, kiedy tak ważne dla całej rodziny wiadomość przywiozłam.

— Powiem ci najszczerzej, moja duszko, odparł

mąż, wszystko to tak mi przykre, tak czuję w tém nowe kłopoty i strapienia, taki to we mnie wstręt wzbudza, tak mi się nie chce leżeć w to błoto, że wołałbym zamileczyć i zapomnieć.

— Bardzo dobrze, gdyby to tylko o nas szło — przerwała kobieta — ale zaczekajże i zastanów się, ja jestem posłem w interesie całej rodziny. My możemy się sobie wyrzec, ale drugim drogi nietamujemy: niech wiedzą i niech myślą.

— A! zapewne! i pan Samuel i drudzy mogliby nam nawet milczenie mieć za złe; zatém powiemy Pawłowi, a on niech resztę bierze na siebie. Ja jestem ubogi, czasu do tracenia nie mam; oni niech sobie głowy łamią kiedy mają ochotę.

— Więc chodźmy do Pawłostwa — rzekła Hieronimowa korzystając z okoliczności, bo oddawna pragnęła braci pogodzić, choćby ofiarą upokorzeń jakie tam zawsze doznawała od Julii, usiłującą bratową zepchnąć jak najniżej, wyszydzić i boleśnie ukąsić. Konstancya znosiła to z uśmiechem i słodyczą ubogich, którzy przywykli do spychania, pocieszają się wewnętrzném uczuciem że nie zasłużyli na nie. Obawiała się też mieć na sumieniu, że jest powodem waśni między braćmi.

— Nie — odpowiedział stanowczo Hieronim — nie duszko, noga już tam moja nie postanie — nieumieję szanować ciebie i naszego ubóstwa; nie mogę żyć z niemi, żal mi ich; nie mam nienawiści, nie mam gniewu, ale unikać ich muszę. Napiszę do Pawła, przyjdzie do nas.

Po głosie poznała żona, że namawiać byłoby próżno i milcząc powrócili z dziećmi do domku, a gdy świecę zapaliła starsza córka, usiadł zaraz Hieronim i do brata wzywając go karteczkę napisał. Posłano z nią dziewczynkę z piekarni, a tymczasem małżonkowie zajęli się swoim gospodarstwem, w którym zawsze jest co robić pozostałego od wczora, pilnego dzisiaj, lub przewidzianego na jutro. Gospodarstwo jest tym mitologicznym kamieniem, który na górę wtoczony, na dół opada nieustannie; a mythus ów pewnie nic innego nie oznacza nad pracę naszą wiejską, co się bez końca odradza.

W dobre pół godziny zjawił się i pan Paweł, wiedziony nadewszystko ciekawością. Był to podłyśiały już nie zbyt młody mężczyzna, dobrego wzrostu, zdrowy, silny, na którego twarzy malowały się na ogólném tle głupoty, chytrój trochę, jakieś nieodgadnione uczucia i myśli człowieka, co nad wszyst-

ko lubi się bawić. Widać tam było wykluwające się pretensye do tonu i wyższości i pewność siebie, trochę dумы, trochę zarozumienia, a uczeń Lavatera byłby może wyszedł i chciwości odrobinę. Ubrany był acz po wiejsku porządniej jednak i staranniej od brata; słomkowy jego kapelusz rodem był z miasta, rękawiczki jeszcze niedawno uchodzić mogły za glansowane, kij udawał trzcinę, gałka zarywała na rzeźbę.

Żona musiała mu mocno zazdrościć, że jej także duma nie dozwalała pójść z nim razem i dowiedzieć się o upokorzeniu Hieronimowej, którego była prawie pewną — przykazała tylko powracać panu Pawłowi jak najprędzej i nic po drodze z nowinek nie zgubić.

Paweł wszedł nie robiąc ceremonii; ledwie się głową skłonił bratowej i siadł nie proszony, oglądając się z wyrazem twarzy, który dobitnie mówił: — O! mój Boże! cóż to za hołota! i to mój rodzony brat!

Dzieci odpędzane od ogrodu stryja, zobaczywszy go uciekły; wszedł Hieronim, podali sobie ręce zimno.

— Cóż tam? żona twoja powróciła? — spytał rozsiadając się pan Paweł.

— Wróciła i z tego powodu właśnie wezwałem ciebie—odpowiedział młodszy.— Przypatrzyła się i nasłuchiwała co tam się dzieje u Kasztelanica. Pan Samuel polecił jój o tém oznajmić familii, a choć ja wcale nie myślę, żeby się nam na co ta wiadomość przydała, muszę spełnić jego żądanie.

— Ale naprzód, pozwól się spytać — żywo przerwał Paweł — czy wam pomógł stryj Kasztelanica?

— Nie — odparł Hieronim spuszcżając oczy — Paweł uśmiechnął się nieznacznie.

— Ale nie o to idzie — mówił dalej młodszy — pan Samuel, jak wiesz zapewne, bawi tam od dawna z Rotmistrzem, stara się o pomoc jaką dla niego i darmo. Kasztelanica nieużyty dla nikogo i im nie uczynić niechce, wszystkich razem odsyłając do testamentu.

— Powiedzże mi, ale istotnie tak bardzo bogaty? bo tu różne wieści chodzą? — spytał Paweł.

— Cóż chcesz? wiesz że ma z parę tysięcy dusz, że nigdy podobno intraty nie przeżywa, że nikomu grosza nie daje, że na nic nie traci, łatwo wnieść co mieć musi.

— A to tam miliony! miliony pleśnić powinny! — żywo i z uśmiechem pożądliwym, zawołał starszy.

— Być może, ale najpewniej nie dla nas, choć Kasztelanic ludzi nas testamentem. Posłuchaj tylko: Kasztelanicem włada faworyt kamerdyner, faworyta panna Aniela, kandydat na faworyta Jasiiek; wszyscy nań cychają, opasali go strażą i czynią dla krewnych nawet nieprzystępnym. Samuel nic poradzić nie może, Jaś podobno o sobie tylko myśli.

— O! to urwisy te Józefowicze, jak tatko! — nierozmyślnie zawołał pan Paweł — takie to musi być dobre jak szwagierek pan Sobocki, którego dziś bez sądu na szubienicę prowadzićby można.

— Co chcesz, mój kochany Pawle, każdy podobno najwięcej o sobie myśli. — Pan Samuel więc żąda, ażeby się familia zebrała, naradziła i kogoś mu w pomoc przysłała, sprytnego, aby Kasztelanicowi umiał się podobać, a uchowaj Boże śmierci na niego, nie dał pochwycić nam z przed nosa spadku. Ja się w to wszystko mieszać nie chcę i nie mogę; wiesz jak nas jest wiele, trzebaby od wrót do wrót rozpocząć pielgrzymkę, ja na to czasu niémam; róbcie co się wam zdaje.

— No! ależ w tém i twój interes równie jak nasz. Uśmiechnął się gorzko pan Hieronim.

— Ja nie przywykłem do powodzenia i nie wie-

rzę w szczęście — rzekł ciszej — wy, jeśli się wam zdaje, że co z tego być może, róbcie.

— W istocie, należy poradzić się i namysleć! — odparł Paweł wstając. — Ale jakże twoją żonę przyjęli? — spytał.

— Bardzo grzecznie i przyzwoicie, niéma co powiedzieć.

— Prosiła go o co?

— Zdaje mi się że nie — krótko i sucho, zadając sobie gwałt by skłamać, odpowiedział Hieronim. — Dość tam zobaczyć co się dzieje, ażeby dać pokój.

Pan Paweł urwał, widząc że się nic nie dopyta i bracia rozstali się grzecznie ale zimno.

VII.

W progu domku Julia niecierpliwie oczekiwała na męża.

Domek to był podobny wszystkim tego rodzaju— z tą tylko różnicą, że dawna piękność Berdyczewska, która chciała dowieść, że ma gust, zepsuła go poprawiając i zdobiąc. Zniżono mu dach, co go zespecifiko, dano grube i otyłe słupy do ganku z romaniką, mającą minę ogromnej tablicy na szyld przeznaczonę; okna powycinano większe, tak że prawie do ziemi dochodziły, a dziedziniec wyklombiono najniefortunniej, i choć świnię po nim chodziły większą część roku, gęsi bardzo często nań zaglądały, a ku-

ry nigdy z niego nieustępowały, choć śmiecie rzucano tuż pod krzaki, a pomyje wylewano na środek gazonu, przez co wyparzone mu ogromną łysinę, chciano przecież, by to miało minę nowożytną, pańską, zaczęto coś, niedokończono i porzucono.

W ganku czekała Jójmość — ale gdzież była sławiona jój piękność, której dotąd jeszcze wyrzec się nie myślała!! Niestety! jedne jeszcze tylko oczy pana Pawła taką ją mogły widzieć jaka niegdyś była; inni widzieli tylko otyłą, słuszną, białą, świeżą ale rozlaną kobietę, której drobna twarzączka, skutkiem gwałtownych uczuć zapewne, dziwnie się zmięła i powykłęcała. Oczy miały sinawe obwódki, rumieniec zakrawał na trąd, włosy porzadziały, a resztę wdzięków ledwie sznury gorseta w przyzwoitej mierze utrzymać mogły. Minka jój mówiła wyraźnie, że była w domu absolutną panią. Obok siedziała córka jedynaczka, rozpieszczone i popsute dziecko, już podobno piętnastoletnia (jeśli nie więcej) z wyciągniętymi nóżkami, z zawróconą główką, ziewająca, stękająca i znudzona. Matka troskliwie się ku swemu robaczkowi raz wraz zwracając, patrzyła tylko, by jój nawet muszka nie przeleciała nad czołem.

Dziewcze to nie było piękne, ale w myśli rodzi-

ców nie przypuszczano nawet, by idealnie cudną i urodliwą nie była; — świeże jednak, powabne młodością, podobać się mogło. Ale nie była to piękność matki — rysy miała pospolite, zeszpecone skrzywieniem, pieszczotami i jakimś humorkiem złym, który potrzebowała pokazywać. Panna Pawłówna miała imię... zapominam, że naprzód wytłómaczyć muszę, jak się jój dostało. Przyszła na świat w sam dzień imienia ojca, na Ś. Piotr i Paweł; matka była cierpiąca, dziecko słabe bardzo, chrzest więc odbył się pośpiesznie, bez porady pani Julii, i nikt nie uważał jakie imię dał ksiądz nowo-narodzonemu dziecięciu. Proboszcz po staremu od Piotra nazwał ją Petronellą. Gdy matka wyzdrawiała, niesłuchanie się tém zmartwiła, bo marzyła dla niej o piękném, wyszukaném, niepospolitém imieniu, a Piotrusia wydała jój się nazwą stosowniejszą garderobianie, nie przyszłej dziedziczce Horoszek. Nieśmiejąc zmieniać patrona, przerobiła sobie Petronellę na jakąś Petrę z francuskiego romansu, i odtąd chodziła panna pod sentymentalnym Petry tytułem.

Obok Petry siedziała stara.... panna (bo widocznie na pierwszy rzut oka poznać w niej było młoda starą pannę) — mogąca mieć lat więcej czter-

dziestu — skóra i kości — żółta, sztywna jak szpilka, ostra jak igła, ze spiczastym noskiem, z oczyma nadzwyczaj wytrzeszczonemi, nad którymi brew zbyt bujnie wyrosła, kształciła dwa łuki wcale nie do zazdrości. Twarz jój pomarszczona, z wysznurowanemi usty, z wyprężoną postawą, przy stroju wymuszonym, w którym wstążek jasnych było siła różnej barwy, wyglądała jak trup zarzucony w trumnie kwiatami. Coś było pocieszenie don-kiszockiego w tym towarzyszu Petry, mającym minę starłej aktorki małego teatru, ruch, postawę i przesadzoną skromność. Imię téj istoty było Hiacyntha (przez H w środku koniecznie) Samińska, a powołaniem jój nauczycielstwo; zdawało się jój bowiem, że umiała po francusku i grała na fortepianie, a w istocie mówiła jak niegrzeczni wyrażają się francuzi *comme une vache espagnole*, grała jak pijany organista. Opinią jednak o sobie podnosiła drobne talenta i kto jój nie chwalił, temu zaprzeczała znajomości rzeczy, a że państwu obojgu potrafiła wmówić swój rozum i talenta, łatwo jój było narzucić im swe zdanie. Musimy tu powiedzieć króciutkie *Curriculum vitae* panny Hiacynthy, które poniekąd jój fizyognomią tłómaczy. Była ona córką aptekarza, który jak Mizner, z apte-

ki przeskoczył na wieś, stracił co miał i zostawił ją sierotą bez żadnego funduszu. Jakaś krewna zaprzęgała ją do trupy wędrujących aktorów, w której jednak nie pobyła długo, ale wiele skorzystała na całym życiu: pozostał jój bowiem akcent tragiczny choćby o szklankę wody prosiła, wyrażenia patetyzmu pełne, sentymentalność wielka i maniera karykaturowa. Ta przesada właśnie, ton jój napuszony i wielkie słowa, któremi rzucała w najprostszych życia okolicznościach, w oczach tych co nigdy prawdziwie dobrego towarzystwa nie widzieli, wydawały się czémś wyższém i bardzo piękném. Oślepiła państwa Pawłów, a poznawszy, co nie było trudno, kto rej wodzi w domu, i umiając dziwnie pochlebiać matce, a dogadzać córce, została ulubienicą i powiernicą obu. Sam pan Paweł bardzo ją szanował; wręście przyjęcie guwernantki wielce mu pochlebiało, stawiając dom jego na wyższej stopie. Chwalono się też nią nieustannie, choć Petra nic się od niej nie nauczyła, bo zwykle rozmawiały z sobą tylko o świecie, o losach, o miłości i o zdradzieckich kochankach, a lekcye życia zastępowały naukę języków i muzyki. Jednakże muszę być szczérym, dodam iż Petra grała kilka mazurków bez taktu i stukała kilka wal-

ców — nad Straussa i Rajczaka nie posunęła się wyżej.

Takie towarzystwo zastał pan Paweł w ganku.

— A cóż? a co? a co? — spytały wszystkie podbiegając ku niemu, matka, córka i przyjaciółka.

— Historya! — odparł pan Paweł — ale niech panna Hiacynta pójdzie z łaski swojej trochę się przejść z Petrą.....

— Cóż to? czy mam już opłakiwać stratę drogiej mi pańskiej ufności? — spytała ostrym, szczypiącym głosem, mizdrząc się i krygując stara panna, równie ciekawa jak złośliwa.

— Ale nie! — rzekł pan Paweł rubasznie — tylko wolalbym.... to jest.... zdaje mi się... i dokończył wskazując na córkę, że przy niej mówić by niechciał, ale go nie zrozumiano.

— Mówże bo Pawle! — niecierpliwie przerwała żona — Pecią jest w wieku, w którym wszystko słyszeć może....

— Już??? — spytał ojciec trochę zdziwiony.

— Na co to te dziwactwa; mów, przecież pani Hieronimowa nic takiego nie przywiozła z sobą, co by nas mogło zgorszyć.

Pan Paweł jął się tedy westchnąwszy opowiadać

o Kasztelanicu, pannie Anieli, i o wszystkiém co się tego domu tyczyło.— Julia słuchała uważnie, panna Hiacynta ruszała ramionami z słodko-kwaśnym uśmieszkiem, a Pecia naiwnie pytać poczęła:

— Jakto? mówią że Kasztelanic taki stary, a jeszcze się przecie kocha... I czy się ożeni?

— Moje dziecko — odpowiedział pan Paweł — nie rozprawiaj o tém—to jakoś dla ciebie nie przystoi.

Hiacynta coś szepnęła wychowanicy i obie się serdecznie rozśmiały.

Julia wysłuchawszy nowinek, chwyciła się nadziei dalekich, bardzo gorąco i żywo.

— A to niéma co myśleć — zawołała — pan Samuel ma zupełną słuszość—trzeba radzić prędzój.... tam muszą być miliony.... Choćbyśmy się wszyscy podzielić mieli, zawsze piękna może być gratka. Stary ma około dziewięćdziesięciu lat, nie pożyje już długo, może umrzeć lada chwila. Ale proszę cię Pawle, czy wszyscy muszą należeć do tego spadku? czy nie byłoby sposobu żebyśmy my go wzięli sami?

— Na to niéma innego sposobu — odparł śmiejąc się pan Paweł—chyba starego z Petrą ożenić.

Wielkim krzykiem odpowiedziano mu na te słowa.

— Ale proszę cię—żywo kończyła Julia—czyż i dzieci Józefa i dzieci Samuela, i Piotra koniecznie brać mają?

— Zupełnie równo, niezawodnie, byleby było co brać. A nawet Pobiałowie.

— Jakto, i Pobiałowie jeszcze?

— Ja myślę, zresztą, niewiem.

— A już chyba to być nie może; wszak i tak majątek się rozdzielił na cztery głowy, a nasza scheda pójdzie na dwie.

— Może na trzy.....

— Zmiluj się, to i Żmurowie brać mają?

— Tak mi się coś zdaje.

— Porachujmyż czy to zachodu warto—zastanowiła się córka kupca z właściwą pochodzeniu swojemu rachunkowością;—mówicie że ma dwa tysiące dusz, to warto dwa miliony, a w gotówce...

— Mówią że i w gotówce sporo mieć powinien, ale wiele, nikt nie wie.

— No! przypuszczam że tylko połowę tego co w ziemi, to czyni trzy, a ruchomości drogie, niech będzie razem cztery miliony—co przy dzisiejszej cenie majątków bardzo być może... więc po milionie na schedę. Śliczna rzecz! Na nasby zawsze górą po

trzykroć wypadło... Petra poszłaby za jakiego hrabiego.

Klasnęła w ręce. — Jutro rano zaraz jedź Pawle, zbierajcie się, radźcie i myślcie, bo zobaczycie, ze staremi nie żartować: gotów się z tą panną Anielą ożenić i jój wszystko zapisać. Żywo! żywo!

Pan Paweł w głowę się poskrobał.

— Ale do kogoż jechać! poradzę się najbliższych naszych, pojedę do Tekli...

— A im to na co wcześniej mówić? — podchwyciła żona.

— No? to komuż?

— Jedź lepiej do pana Piotra, to człowiek i rozumny, i bogaty i stosunkowy.

— Co do rozumu i stosunków — wszak i Pobiałom go nie braknie?

— Ale się to może bez nich obejdzie — zawołała Julia — niech pan Piotr pomiarkuje, czy im potrzeba dać znać — on głowę familii dzisiaj...

— Juściż dla mnie ojciec pierwszy, a naprzód wypada mi pojechać do niego.

— A! zapewne, ale pozwól sobie powiedzieć, on trochę zdzieciniał. Jedź jednak rybko, żeby nie uchybić; od niego jadąc do pana Piotra, możesz po

drodze kiedy chcesz do Żmurów wstąpić, nie im nie mówiąc; u pana Piotra wszystko się to ułoży, tylko czasu nie traćcie.

Zamyśliła się Julia wzięwszy w boki.

— Słuchaj Pawelku — rzekła — gdyby to tak wiedzieć można pewnie, że to na nas spadnie... ty mówisz, że Hieronim niewiele o to dba i nie bardzo w to wierzy; Żmura także łatwy do interesu, może-
byśmy od nich mogli nabyć ustępstwo. Ot! cały milion by nam przyszedł.

Pan Paweł milczał, ale trafna ta rada bardzo mu się podobała.

— Ba! ba! — rzekł — moja duszko, śliczna myśl twoja, ale któż to wie czy nas to nie minie, a zresztą, potemby może zbyt na nas krzyczeli żeśmy się cudzém zbogacili...

— Jakto cudzém? albożbyś nie nabył?

— Tak, ale zawsze...

— A! na to ryzyko! — odpowiedziała — gdyby tylko dobrze wiedzieć, że nas nie minie! Ale co to wcześniej mówić, na wierzbie gruszki — dodała — potem o tém.

Panna Hiacyntka powoli zbliżyła się wyszczerzając swe czarne ząbki.

— Losu tajemnice są nieodgadnione — odezwała się melancholijnie — jednych podnosi drugich strąca ze szczytów, ale nazwałabym go sprawiedliwym, gdyby państwu zgotował dolę świetniejszą i temu aniołowi przyszłość na jaką zasługuje..! Choćby wyroczni losu się poradzić...

— A! prawda! pociągnij nam kabałę! — zawołała Julia — wróćmy do pokoju.

Weszli wewnątrz domku, który doskonale odpowiadał wyobrażeniu, jakie o nim z pierwszego na powierzchowność wejrzenia powziąć było można; wszędzie niesmaczny występ, nieumiejętna chęć ozdobienia, a rzeczywiście dosyć opuszczono i brudno. Były tu i zwierciadła w złotych ramach pyłem przysute, i na konsolkach fraszki pootłukane a brzydkie, i firanki nafrenzlowane, i fortepian Czyszaka z Krzemieńca, i woskowana posadzka, na której wosk nieboszczyk pyłem śmiertelnym się przykrył.

Cały wieczór zszedł na rozmowie pełnej projektów i marzeń, które z kolei wysnuwała pani, Petra i Hiacynta, ofiarująca się na zawsze pozostać przy swój uczniocy, jako kapłanka przyjaźni.

Pan Paweł najinniej mówił, ale myślał najwięcej i postanowił, zdawszy gospodarstwo jak to często czy-

nił na żonę, a raczej na łaskę Bożą, zaraz nazajutrz wyruszyć do ojca, mieszkającego w bliskim miasteczku, potem przez Rohozę do pana Piotra, do Zrębów, dla narady o interesie. Miliony Kasztelanica ogromnie mu już po głowie chodziły, a że chciwość dość otworzyć malcukie przejście, aby się całą rzeką wylała, już się chwycił myśli objęcia całego spadku bez podziału, marzył, że Hieronima łądą czem zaspokoi, z siostrą za fraszkę się ułoży, dzieci Józefa pozbędzie się małym datkiem, że Piotr może niepotrzebować od losu tego uśmiechu, Rotmistrz, kawaler, dożywotnią się pensją ograniczy, a on wszystko zagarnie. Był to projekt olbrzymi, ale któż kiedy między snem a jawą takich marzeń nie miewał?

Julia ze swój strony roiła dla córki świetne losy, dla siebie stosunki z pierwszymi domami, życie w stolicy i za granicą, o którym tylko słyszała jak o jakimś szczęściu mistycznym, a w ostatku zakochanie się w niej jakiegoś udzielnegoniemieckiego książątka, których tyle z miękkiemi nader sercami po świecie chodzi i t. d. i t. d. Petra także z milionami podawała rękę jakiemuś księciu, który w jej śnie miał czarne wąsiki, bródkę hiszpańską i lornetkę w oku.

Co się tycze panny Hiacynthy, ta wprost spodzie-

wała się od swój uczeniocy jakich tysiąca dukatów posagu, i nie wątpiła, że z niemi dostałaby sobie męża, nie nazbyt już młodego, nieco łysiego, wszakże mocnej kompleksyi, a bardzo uczuciowego i umniejszającego uczucia swe wyrażać w stylu kwiecistym.... Ale któż przeliczy marzenia, które, jak w piękny wieczór jesienny jedwabne nici pajęczce, snują się tysiącami po głowach ludzkich, czepiając wszystkich uczuć i nadziei, zeschłych często łodyg i listków??

W domku tylko Hieronimostwa nie było tych marzeń, bo i one od ubóstwa stronią; rzeczywistość nadto się tam czuć dotkliwie daje, by wierzono w sny, które zawiodły ilekroć omamić usiłowały. Hieronimowa wzdychała nad dziećmi, ojciec rachował swoją intratkę, by synów do szkół oddać — dziewczęta tylko i chłopaki, pospawszy się uradowane powrotem matki, szczebotały przez sen wesełem młodości, która jeszcze nie zna strachu przyszłości, co później ma truć życie.

Nazajutrz raniutko całe towarzystwo Pawłów siedziało przy stole zastawionym do kawy, a najdyczanka trzema gniadoszami zaprzężona już stała przed gankiem, bo pan Paweł, gnany i naglony przez żonę, musiał się wybrać w tę podróż w interesie familij-

nym! Wyjeżdżał już namarszczony, zamyślony, nie-
spokojny, tak go to gryzło wcześniej, że się z tylą
osobami dzielić będzie musiał, choć daleko było do
tego, żeby miano się jeszcze o co troszczyć.

Żona w dosyć brudnym szlafroku, rozparta w sze-
rokiém krześle, dawała mu ostateczne instrukcye.
a żółta panna Hiacynta uśmiechała się, kiedy nie-
kiedy rzucając słówko pełne patetyczności i wyszu-
kanego wdzięku.

Petra ziewała zmęczona zapewne nocném marze-
niem.

Ruszył się wreszcie pan Paweł uściskawszy żonę,
w czoło pocałowawszy córkę i wedle starój metody,
której się jeszcze trzymają na Polesiu, złożywszy po-
całunek na kościstej łapce panny Hiacynty.

Żegnany słowy, wejrzeniami i życzeniami dziar-
sko ruszył z dziedzińca i znikł w obłokach kurzawy.

VIII.

Przez cały ciąg drogi do miasteczka, które około trzech mil było odległe, pan Paweł ani spojrzał na gospodarstwa sąsiadów, ani ich kóp liczył, ani na ich popar ramionami ruszał, ani na siano opóźnione i poczerniałe szydersko się uśmiechał, bo silnie był jedyną myślą zajęty: liczeniem spadku, szukaniem sposobu na odepchnienie od niego ulubieńców Kasztelana, i na przywłaszczenie go sobie wyłącznie.

Nareszcie ukazały się wieże miasteczka, szeroka, błyszcząca rzeka co je oblewała, zielone łąki po których płynęła, strome brzegi Styrowe i szare domki żyjących w téj ruinie ludzi. Mało u nas miasteczek

coby gruzami nie uciskały serca; każde z nich prawie jak drobne chłopię w szerokiej podziurawionėj kapocie ojcowskiej wygląda;—i obszernie mu w gruzach, na cmentarzykach i zwalisku. Takiem było i to miasteczko, o którém mowa.... Sterczały nad niem wieże bez wierzchołków, kościoły bez krzyżów. dzwonnice bez głosu, klasztory bez dachów, groby bez poszanowania i ołtarze bez świętości. Czas co wszystko kruszy —przeszedł i podeptał zamki, świątynie, domy; została kupa ruin nieforemnych. Wśród białych, szarych i czerwonych ścian murów okopconych od pożaru, świeższe, żółte domki poziome świeciły tu i owdzie; przy nich klatki i szalasy, obok poważnych ruin karłowate i do kretowisk podobne. Środkiem zamiast ulic ciągnęły się po świeżym deszczu szerokie czarnego błota strumienie.—Smutny to był widok!! ale gdzież na świecie niema ruin, a któraż ruina wesola? — w każdój z nich mieszka śmierć.

Cegłami zamku i kościołów wysłane były kałuże smrodliwe, resztki pustek stały gdzie niegdzie w ulicach, jak trupy, wylupionemi próżnemi patrząc oknami, jak umarły zdrętwiałem jeszcze patrzy na świat okiem. Nigdzie niewidać było poszanowania pamiątki, nigdzie uczucia dla przeszłości; waliła się

ona do koła, powolnie, pomijana obojętnie, rzekłbyś, że ją czarownik jakiś ukrył oczom i sercu.

Pan Paweł przejeżdżał ulicą otoczoną domostwy żydowskiemi drewnianemi, chatkami co się do murów poczepiały, budkami z tarcic, sklepikami z lada kilku desek zbitemi. Dwa czy trzy razy pominął długie mury klasztorne, powylupywane, obrosłe korzeniami, zzieleniałe i porysowane od uliczników — nareszcie stanął przed dworkiem w ustronnej uliczce, skromnym, bo od czoła tylko czworo okien i jedne drzwi mającym. Było to mieszkanie państwa Antoniego i ojca jego i matki. Domek stał na uboczu, miał mały ogródek, ciasny przed sobą przejazd, a w tyle stajenkę, wozownię i drwalnię. Tu bliżej kościoła i cmentarza państwo Zawilscy dożywaliswego wieku, spokojnie. — Spokojnie? niewiem, zaraz to zobaczymy.

Ledwie wysiadł pan Paweł, z serwetą w rękę matka, z serwetą pod brodę zatknietą wybiegł w ganek ojciec, oboje mu radzi i z widocznym weselem na twarzach, z weselem ludzi osamotnionych.

— A witajże Pawełku! a cóż to ci się stało żeś nas przecie odwiedził.

I uchwyciwszy go zaraz, wprowadzili do izdebk;

małej, ubogiej, ale białej i czystej, na której środku skromnie zasłany prostym obrusikiem domowej roboty stoliczek, obiad dwojgu starym podany unosił. Był tam w fajansowej wazce bulion z fasolką, sztuka mięsa biała do chrzanu, makaron zapiekany i na pieczyście gęś staruszka, co się poddeptała chodząc po podwórku, aż ją poderznąć musiano nie w porę, Kości jej świadczyły, że niewinnie śmierć poniosła. bo sterczały wyżej mięsa.

Na ścianach izdebki była historia Józefa sprawiedliwego, przez jakiegoś nieznanego artystę, bardzo; szczęśliwie, bo bardzo naiwnie wykontrefektowana była Genowefa Brabantska i Cesarz Aleksander.

Okienka małe wychodziły w sadek i na ulicę; przez drzwiczki otwarte widać było pokój Jęmości, a pokój Jegomości rozdzielony kuchnią od bawialnego, mieścił się naprzeciwko.

Pan Antoni, starzec siwy ale krzepki, z wąsem szpakowatym, podstrzyżonym równo z ustami, z okiem szarém, żywém jeszcze, ubrany był w pikowy żupan i kontusz czarny, z lekkiego pólukienka, dobrze już wytarty; nie chudy, nie otyły, raczej kościsty, miał minę zdrową choć cerę nieco żółtą; gęste marszczki twarz mu poorwały, a oczy obwijala siatka faldów ge-

sto koło nich poplątana. Gdy mówił miał zwyczaj brwi wysoko podnosić i słuchacza za guzik lub klapę przytrzymywać, a nogą potupywać. Zresztą, wszystko w nim znamionowało starego szlachcica, choćby nawet ogromnego herbowego pierścienia z krwawnikiem nie nosił na piątym palcu. Jéjmość, w białym czépcu, pikowej spódniczce i takimże kabaciku, po staremu przykryta tylko była na ramiona rzuconym płaszczykiem z zielonój kitajki. Znać w niéj było jeśli nie wysokie pochodzenie, bo dystynkcyi w rysach nie miała, to powagę dowodzącą, że się wysoko z sobą nosiła. Słuszną, suchą, prostą i sztywną, z długą szyją, z głową w tył zarzuconą, z ust, których wargą dolną naprzód się wysuwała, godnie widać umiała dźwigać swoje ubóstwo, chociaż z domu Judzka, co często bardzo powtarzała.

W pierwszój chwili, gdy zobaczyli Pawła zgodzili się rodzice na czule powitanie, ale zaledwie wszedł, zwykle spory pod pretekstem sztukimięsa wszczęły się natychmiast.

— Kochany Pawelku—rzekł pan Antoni całując go w głowę—siadaj i zjadaj, co na placu to nieprzyjacieli; sztukamięsa dobra — przybyłeś na nią w samą porę.

— Zaczynij od bulionu, będzie jeszcze dla ciebie—
przerwała matka.

— Do czego mu bulion, gorąco tak... aby kawał
mięsa.

— Dla czegoż niéma zacząć od bulionu kiedy
jest—stale powtórzyła matka.

— A kiedy ja wiem że nie lubi bulionu—odparł
ojciec tupiąc nogą.

— To kompozycja Jegomości, żeby na swoim
postawić—zawołała Jójmość pierzac się— wiecznie
bo się musisz sprzeciwiać.

— Kochana Kaziu—przerwał ojciec—gdybyś ty
przypadkiem była zaprosiła go na sztukęmięsa, była-
byś utrzymywała, że od niej zacząć najzdrowiej, bo
w skwar oblewać się bulionem, niewiedzieć do cze-
go; ale że ja to powiedziałem...

— Jegomość mi życie trujesz tą swoją sprzecz-
nością!

— WPani mi go też nie słodisz swoim chara-
kterem.

Paweł tymczasem, choć przywykły do téj woj-
ny trzydziestoletniej, niewiedział co z sobą począć,
nieśmiejac ani usiąść, ani się brać do bulionu i sztu-
kimięsa.

Państwo Antoniostwo stali naprzeciw siebie i kłótnia ciągnęła się dalej, coraz bardziej rozgrzewając.

— WPan mi stanął kością w gardle ze swoim uporem.

— WPani mi obrzydłaś ze swoją manią kobięcą kłótni nieustanną.

— Dziękuję za ten komplement.

— A to i ja.

— Kara Pana Boga z tą kobietą!

— Nasłanie z tym starym gdérą.

Pomiarkowali się przecie, że nie w porę zachwycił ich ten wybuch, i obrócili się do Pawła, który stał na mękach, głodny, pożerając oczyma tylko bułion i sztukamięsa.

— Niech sobie jé co sam chce:

— Niech jé co chce.

Odezwali się jednocześnie.

— Siadaj Pawełku, i mów nam o sobie, o żonie, o Peci, o Hieronimie, co się tam u was dzieje?

— Mów — mówił ojciec; niezawadzi ci co poradzić w gospodarstwie, ja stary wyga, a ty nie tęgi gospodarz podobno; opowiedzno mi co tam u ciebie?

Paweł wziął się do makaronu jeszcze niebędące-

go w sporze, co jakoś 'pogodziło małżonków, a razem do opowiadania o Kasztelanicy, o odwiedzinach Hieronimowej w Strumieniu, o powieści pana Samuela i wszystkiém co się dotykało tego interesu.

Pan Antoni przysunął się aż do niego, żeby słyszeć lepiej, tabaki zażywał, na żonę z ukosa poglądał, nogą potupywał; widać było na licu jego radość, którą w starości skrzeplęj lada nadzieja obudza.

Jéjmość milcząco słuchała, z powagą ręce założywszy na piersiach: miała nawet skłonność przeczyć tym nadziejom, widząc że mąż się ich chwycił, a razem dlatego, że spadek nie pochodził z Judzkich, ale z Zawilskich, co ją niejako upokarzało — wszakże wstrzymywała się.

Gdy pan Paweł skończył, razem się prawie ozwali oboje:

— Na wierzbie gruszki! — szepnęła Jéjmość.

— Chwała Bogu, będziecie bogaci! — rzekł pan Antoni.

— Nie spuszczać się na to! — dodała matka.

— Jakbym widział, że to ich nie minie! —

przerwał ojciec i zaraz odwrócił się ruszając ramionami do żony. — Co? Jéjmości i to już nie w smak?

— A jakże mi ma smakować, że się Paweł, za-

miast pilnować gospodarstwa, durzy takimi banialukami?

— Dla czegoż to Jójmość banialukami zowiesz?— podchwycił ojciec— chyba już znówu mnie na przekorę.

— Ale Panie Antoni, to jasno, że się Kasztelanie ożeni, a jeśli co zapisze komu, to żonie lub zausznikom: tak bywa zawsze. W końcu go jeszcze okradną.

— Choćby i okradli, juściż ma dwa tysiące dusz, tych mu nie wezmą.

— Wymogą zapisy.

— Waćpani chcesz wszystko widzieć najgorzej.

— Waćpan całe życie bałamuciłeś się niedoręcznościami i takeśmy stracili majątek.

Nie było dla Pana Antoniego dotkliwszój i przykrzejszój wymówki, nad przypisywanie mu straty majątku; porwał się na te słowa jak oparzony, poskoczył, uderzył się w piersi i zawołał:

— Na rany Chrystusowe! cóżem ja stracił? com stracił? czy Jójmościne kiepskie pięćdziesiąt tysięcy? Zostawiłem dzieciom wieś i mam chleba kawałek na starość, gdybyś mi go Jójmość płołunem nie zaprawiała....

Niemogąc dotrwać, Jójmość także powstała, ruszyła ramionami:

— Ja Waści nie przegadam, zostańcież się sobie z Pawłem; ja jednak miałam iść do Horodniczyněj, to pójdę, zejść ci z oczu, bo z sobą do ładu nie trafim.

Ruszyła się staruszka, ale gdy wychodziła, Pan Antoni, klócąc się jeszcze z nią we drzwiach, najtroskliwiej wyniósł parasolik i posłał za Jójmością dziewczynę dla bezpieczeństwa od psów sąsiedzkich.

Zostali się z synem, który korzystając z okoliczności przysunął sobie sztukęmięsa, a Pan Antoni, któremu do gawędy nie często tak szczęśliwa trafiła się gratka, chwycił syna, przysunął się do niego i począł długi traktat, przypuszczając wszystko co się tylko przypuszczać mogło i rozwiązując z góry trudności ile ich było.

Stańęło na tém żeby Pan Paweł jechał do stryja Piotra i ostatecznie z nim się jeszcze naradził, dla obmyślenia kogo wypadnie posłać do Strumienia w pomoc Panu Samuelowi. O dzieciach Józefa ani mowy nie było przy wyliczaniu familii. Michał będący w wojsku stał ze swoim pułkiem w Orenburgskiej gubernii. Jaś znajdował się u źródła i dobrze go pilnował, a mąż Antoniny, Sobocki, za najniebez-

pieczniejszego uważany był sprzymierzeńca; nadmienił o nim Paweł, a ojciec usta mu zamknął.

— O Sobockim — rzekł — ani słowa! to łotr z pod ciemnej gwiazdy, oberwaniec z pod szubienicy: kara Boża spokrewniła z nami tego mechesiuka. Waćpan niemasz pojęcia jaki to człowiek; większego już łotra nie wyobrażam sobie: birbant, hulaka, wisielec i matacz! matacz! Przytém Jasiek musi już z nim być wzmowie, bo i to podobno dobra sztuczka.....

Ledwie tych wyrazów domawiał, gdy na progu ukazała się blada, przystojna, zmęczonych rysów twarzy, zsiniałych oczów, skromnie ubrana młoda kobieta. Wyraz jej opowiadał dobitnie niespokojów pełne, ciężkie, wrzawliwe życie. Była to właśnie Pani Sobocka, która stryjenkę, Panią Antoniową, przyszła odwiedzić.

Blondynka, miłych i niedawno jeszcze pięknych rysów, walką nieustanną, doznaniem gwałtownymi uczuciami, chorobą może, tak miała znużoną twarz, jak gdyby o dziesięć przynajmniej lat starszą była niż w istocie. Wstyd stał się z tego czoła o które odbijały się codziennie wszelkiego rodzaju mężowskie; ruchy straciły bojaźliwy wdzięk niewieści, w boju przybrała postać mężką, i okryła się

czémś szorstkiém, niemiłym, gwałtowném. Każdy jój ruch, spojrzenie, wyraz dowodził, że nie przywykłą była spotykać ani przyjaznego wejrzenia, ani łagodnego słowa; w każdym szukała nieprzyjaciela, i zaczepki.

Otworzyła drzwi nagle, spojrzała śmiało i skinęła głową ojcu i synowi.

— Jak się masz Pawle? — spytała — a ty tu co robisz?

— Tylko com przyjechał do ojca.

— Tak, pocziwe Pawlisko odwiedził nas — rzekł łykając i ukośnie nań rzucając wejrzenie ojciec, przełknięty jeszcze czy go nie podsłuchiwała Antosia, choć wiedział jak z mężem była; ale kłótnia kłótnią, a męża się broni zawsze, choćby był największy łotr tak jak sie tuli choć bolącą część ciała swego.

— Długo tu bawisz? — zapytała Antosia.

— Tylko przenocuję! — rzekł Paweł.

— A nie będziesz u nas? spytała prosząc.

— Niewiem doprawdy — odparł zniespany trochę Paweł — krótko bardzo bawię, w domu gorące gospodarstwo.

— To źle że wy o nas zapominacie! — śmiało ku niemu przystępując, ale znizonym głosem odezwała

się kobiéta. Mój mąż wiecie jaki..... cierpię i za to że stronicie odemnie, możebyście potrafili podnieść go podając mu rękę. A przytém zdałby się wam jako przyjaciel..... bo niebezpieczny wrogiem! o wierście mi! wierście!

Stary ojciec przerwał jój prosząc aby zamilkła.

— No! no! cicho! sza! nie gniewaj się i nie strasz, przyjdziemy do was z Pawłem, przyjdziemy!

— Czekam was z herbatą.—A stryjenki niéma?

— Wyszła tylko co do Horodniczyněj.

— No, to i ją tam zabiegnę — ale na herbatę czekam, i do męża, do sądu poślę z nowiną. Będzie wam rad, bardzo rad.

To mówiąc pocałowała w ramię stryja, uśmiechnęła się Pawłowi, który na rękę jój złożył dowód przywiązania do dawnych zwyczajów — i wyszła.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie.

— A co? — zapytał ojciec — złapała nas! gotowa była słyszeć!

— E! nie!

— O! nie ręcz..... trzeba do nich pójść, trzeba pójść, to darmo; choć to okropny człowiek ale musim go oszczędzać. Dowiemy się też może co on myśli o Kasztelanicy, może się co zgadza.—Jeśli się

on do tego wmiesza, o! to kaszy narobi! Jego w interesie papierowym nie zjemy; to najslawniejszy kruczkotwórca i matacz, jaki jest pod słońcem.

Długo jeszcze trwała rozmowa między ojcem a synem, aż gdy się miało ku wieczorowi, za powrotem Jójmości, z którą natychmiast w progu skłócił się Pan Antoni o Horodniczynę, wybrali się na wieczór do państwa Sobockich.

Soboccy mieszkali na trzeciej uliczce, tak że do nich przez całe miasteczko przechodzić było potrzeba, ale wieczór trafił się piękny i piesza przechadzka nie zastraszala państwa Antoniosstwa, którzy z ukochanym synem radzi się byli pokazać w miasteczku.

IX

Jeśli kto nie lubi wielkiego miasta dziwi się tym co w niém żyją, można się przynajmniej o to upodobanie posprzeczać; ale w malém miasteczku, jestem pewien, żyją tylko ludzie za ciężkie grzechy swoje, czyścić odbywając na ziemi.

Wystawcie sobie zbiegowisko wszystkich mierności, wszelakich żądz i pragnień, wszystkich nędz i wszelkiej chciwości; mrowisko ludzi, których niewiele różnią fizyognomie moralne i cielesne, pełne ruchu jednostajnego i bez celu, pełne wrzawy o słomkę, czczój, bezmyślnój a codziennej — zawiści ile niedostatków, kłótni ile nudy, nieprzyjaźni ile znajo-

mych; a to wszystko obleczone brudnemi ścianami lichych domków, zamknięte uliczkami ciasnemi, wśród wyziewów błota, wśród smrodliwego żydostwa, wśród gawiedzi głodnej, czychającej na pastwę z papierem i piórem w rękę, chciwój razem i dumnej, gotowój sprzedać się za grosz, ale w dodatku wymagającej szacunku na który nie zasługuje.

Każdy ruch, każde słowo człowieka rozchodzi się tu jak w próżni echo szerokie; wszyscy się znają, wszyscy na siebie patrzą, nie można być chwili samotnym, ani tęsknym ani wesołym, żeby twego uczucia nie wzięto na tortury dla dowiedzenia się czemu.

Takie życie może być udziałem tych tylko, co albo chcą cierpliwość swą podnieść do wysokiego stopnia, lub całkiem ją utracić.—Państwo Antonio-stwo żyli przecie w tym skwarze i ścisku; ale starzy, niewiele dotykali tych co ich otaczali, zresztą, klótnia ciągle z sobą nad wszystko ich zajmowała. Nie bez tego, żeby i oni nie byli śledzeni, i nie zarobili sobie najniewinniej na nieprzyjaciół, bo pierwszy z nich był już pan Sobocki.

Ciekawą tę postać musimy bliżej dać poznać czytelnikom, nim do domku jego wejdziemy. Sobocki, jużśmy nadmienili, był, jak odgłos powszechny twier-

dził, synem wychrzty podobno; ojciec jego, pijaczyna i łotr na małą stopę, całe życie strawił na prześladowaniu tych z których łona wyszedł, był bowiem kwartalnym w miasteczku i niepospolicie żydom dokuczał, zdzierając ich i niepokojąc. Człowiek ten żadnego niemając pojęcia o wychowaniu, dać go swojemu dziecku nie mógł. Było ich kilkoro rodzeństwa ale ze wszystkich sprytem i żywością odznaczał się Mateuszek. W istocie, natura obdarzyła go nadzwyczajną bystrością pojęcia, ale mu nic nie dała, co by ten dar dla ludzi użytecznym uczynić mogło. Owszem, Mateuszek za rana nie miał serca i nic go w nim nie wyrobiło później; oddany prędko sam sobie, nie kierowany przez nikogo prócz losu, umocnił się w dziwnym pojęciu świata i życia ze strony najgorszej, w bezwstydzie i zupełnym zaparciu wszelkiego szlachetniejszego uczucia. Sumienie tak w nim twardym spało, że nawet nie domyślał się, jak dalece zszedł z drogi lepszej. Ubogiem dzieckiem w szkołach, wyrostkiem w domu, nareszcie chłopakiem sporym w kancelaryi, zastanawiał wszystkich niezwykłym sprytem, pochlebiając unізonością dla starszych (dla słabszych bowiem miał tylko szyderstwo i korzystał

bez litości z prawa mocniejszego) — gotowością na wszelkie posługi, byleby za nie mógł coś zyskać.

Serce jego nietknięte nigdy, bo i rodziców stracił wcześnie i ubodzy krewni matki nie dali mu dobrego przykładu, stwardniało zupełnie i na wieki; wybuchnęły namiętności, rozjaśniał rozum praktyczny, uczucie nie wyrosło już zwiędłe przed rozkwitnieniem i zgniecione na zawsze. Dzieckiem, całém jego usiłowaniem było wydzierać zabawki, wyludzać oszukaństwem przysmaki lub dręczyć tych co się na nim pomścić nie mogli; mężczyzną zachował ten sam tryb w dalszém życiu, zmieniając tylko sferę działania. Nic go nie kosztował podstęp, zdrada, niewdzięczność, spodlenie, byleby z nich miał korzyść jaką, byleby mu się opłaciły. Pragnienie wzniesienia się nie tyle w nim wypływało z ambicyi, co z nienasyconej żądzy pieniędzy, tych narzędzi nasycenia. Namiętny był bowiem dziko, gwałtownie, głodno jak zwierzę, a że w ubogiem życiu nie wiele mógł skosztować, pragnął potężnie wszystkiego.

Wdrapawszy się do kancelaryi odarty, niemal bosy, i posługując wszystkim w początku, doszedł do naczelnika wydziału mnóstwem podłości, dla których zliczenia potrzebaby odrzucić wstęty jaki wzbudzają.

Począł od cichego donoszenia na swych towarzyszków, spychał ich kolejną z miejsc, które po nich odziedziczał; wszędzie za pieniądze robił co zażądano, a sobie podobnych i mniej może winnych wystawiał na sztych, by zgubić jeśli mu zawadzali, zastraszyć jeśli mu byli potrzebni. W sprawach zrozpaczonych nie było nad niego, bo znał wszystkich co pieniądze brali i z niemi na wspólny robił interes; ale biada temu co się dostał w jego szpony. Nie kończyło się na jednym datku: za nim szły dodatki, strachy dla wyłudzenia coraz więcej, niespodziane koszta nadzwyczajne, niebezpieczeństwa mniemane, których uniknięcie sownie się opłacało, usta które zamykać było potrzeba, księgi których nie można było otworzyć, chyba złotym kluczem, i t. d. i t. d., a klient płacił bez końca, póki tylko darty być mógł. Bywały interesy, które przez całe lata podsycaly pustą zawsze kieszeń pana Mateusza, a kilku złotych nie wartaly; ale umysł jego bogaty w coraz nowe idee, znajdował w nich co chwila inną stronę do wyciskania soków pożywnych.

Szydził potem niemiłosiernie, przy butelce z towarzyszami, z tych których odzierał; czasem się z nich w oczy naśmiewał, pewien, że i na drugi raz bez

niego się nie obejda, a o pomoc swoją targował się tak bezwstydnie, tak ciężko, jak o najpocziwszą pracę. Postępował tak nietylko z bogatym, ale z najuboższym nawet, bo niemiał i nie pojmował li-tości, a szlachtę co w łapciach o żebranym niemal chlebie przychodziła po swe dowody rodowitości, darł najniemiłosierniej, gubiąc potem, bo całemi łatami w rękę ich papierów nie wziął, za każdym o nie dowiadywaniem się, każąc płacić na nowo, a dokumentami zaklejając szyby na zimę. Pod pozorem wydobywania potrzebnych papierów brał od tych nie-szczęśliwych summy bajeczne, które szły na najnie-godziwszą hulankę.

Jeśli sam niemógł tych korzyści ciągnąć z kogo, rad był przynajmniej podsunąć drugiemu sposób odarcia klienta, i dobry koleżka znosił towarzyszom i znajomym wszystkie wieści, które mogły ich kie-szenie podsycić, zostawując sobie albo podział docho-du, lub w potrzebie wydanie potajemnej roboty przed starszyzną.

Dość też było spojrzeć na niego, by w nim napiętnowaną podłość i wygasłe uczucia a rozbujane namiętności wyczytać. Rysy jego twarzy, postawa, ruch, miały coś tak bezwstydneho, że w nieznajo-

mych nawet wzbudzał obawę i ohydę. Mały, suchy, blady, poszpecony ospą, nieustannie kaszlący, z włossem na łbie, który nigdy przeczesać się nie dawał, z oczkami małemi, blademi ale bystremi, z usty od uśmiechu szyderskiego wykręconemi, wyglądał jak uosobienie złości i zawiści, chciwości i rozpusty. Przywykły do mrugania i znaków potajemnych, którymi w obec klientów znosił się z towarzyszami i ofiary swych szachrajstw w pole wywodził, przemrużał często jedno oko, a usta w przeciwną stronę pociągał z ohydny grymasem.

Z wyższymi od siebie uniżony był do upodlenia, ze słabszymi dumny do impertynencyi, a każdy którego się nie obawiał i z którego nic wziąć nie mógł, był dlań niższym i nieprzyjacielem.

Życie pana Mateusza upływało po większej części za stołem kancelaryjskim lub w cukierniach, kawiarniach, winiarniach i najbrudniejszych *jamkach* miasteczka; najmniej w domu. Wódka i karty zdawały się głównym celem jego życia — resztę miał za niepotrzebny dodatek. Spełniając powierzchownie obrzędy religijne dla oka zwierzchników; uczucia wiary nie miał najmniejszego i do swój podłości wyrobił sobie potrzebne ateuszostwo. Dziwném się może

wydawać, że takiego łotra cierpiano; ale nie zawsze oddalić można kogo się chce, a pan Mateusz tak się umiał starszym podlizywać, tak im posługiwał, tak czynił się potrzebnym, tak udawał doskonale przed niemi cichego baranka, że się niczego nie domyślając, bronić go byli gotowi.

W domu od dawna niebyło już pokoju i zgody — z żoną klótnia nieustanna, swary do bitw dochodzące — dla niej i dla dziecka zarówno był obojętny; przychodził późno, wychodził rano i rzadko w dzień zajrzał, chyba że miał powód do bójki, której nie tylko nie unikał, ale się szukać jęj zdawał. Biedna kobięta była męczennicą; ale to życie psując ją i oswajając ze wszelką szkaradą, wyrabiało w niej siły do oporu, gwałtowność charakteru, męztwo nadniewieście, w ostatku już potrzebę namiętności i walki. Gdy po za domem lały się strumieniem ruble na karty i wino, w domu często grosza na mięso nie było, a za każdy zaciągniony dłużek znieść musiała srogie wymówki.

Soboccy mieszkali w maleńkim domku, będącym już własnością kancelisty, na ustronnęj uliczce w końcu miasta; otaczał go lichy sadek i dziedzińczyk brudny a ciasny. Sień, podwórze, wszystko tu mówiło

o nieładzie wewnętrznym — brudno było, opuszczono, zaniedbano. Dworek miał tylko okienek czworo, a że osiadł w ziemię, wchodziło się do sieni jak do lochu po kilku chwiejących wschodkach. Na ten raz, mając przyjmować krewnych żony, których posądział, że nim trochę pogardzali, pan Sobocki postanowił wystąpić i wystąpił.

Poprzymiatano, powylepiano na prędcie odrapane ściany, co było widocznie świeżą robotą, wysypano ścieżkę piaskiem i oświecono pokoik, w którym zwykle stos papierów zalegał jeden stolik, a zrzucony płaszcz drugi. Teraz serwety okrywały oblaźle z politurę meble, firanki otrzęsione były z pyłu, a ogromny samowar zawczasu wrzał w kącie. Pożyczono brakujących przyborów herbacianych u pana Sekretarza i innych towarzyszków pana Matensza; to też łyżeczki były różnego kalibru i cery, szklanki rozmaitych wzrostów i tuszy, a taca nad wszelkie podobieństwo do prawdy nowiuteńka. Do występu należały sucharki i grzanki przyniesione z cukierni i sześć butelek szampańskiego, — bez którego jak wiadomo, nie ma parady i przyjęcia — stojących w kominie i świecących białemi główkami. Pan Mateusz czekając na gości w wice-mundurze, z rękami w kieszeni,

to znów ogryzając zapalczywie paznogie (był to jego nałóg gdy czekał lub niecierpliwił się i gniewał— a czasem ogryzał je aż do krwi), chodził żywo po izdebce.

— Zobaczysz — mówił do żony krzątającej się w drugim pokoju i układającej ciasteczka — że gotowi jeszcze nie przyjść choć się czekać kazali. To dumna ta twoja *familia!* gołe a pyszne! do mnie, do piszczyka nie bardzo im się chce. E! żeby mi no Pan Bóg dał w moje łapki ich wzięść kiedy, toby skakali! oj! oj! dusiłbym, dusił jak cytrynę... Ale poczekajmy; nie bez tego żeby kiedy nie wyrósł im jaki interes, przyjdzie kréska na Matyska, dopiero zobaczymy!!

— Ale poczekajże! bądź cierpliwy, jeszcze przyjdą, dali słowo!

— Przyjdą, nie przyjdą! — zawołał Mateusz gryząc do krwi palce — to mi wszystko jedno! — i rzucił klątwę której powtórzyć niepodobna, tak była szkaradną.

— Idą! idą! — wpadła służąca zadychana — idą!

— A przecie idą — rzekł rumieniąc się i spiesząc do drzwi, ale w progu wstrzymał się i żonę idącą niepuścił. — Czekaj — nie wychódź przeciwko nim;

cóż to za figury! trzeba umieć swoją godność utrzymać; kto by powiedział że mi wielką łaskę robią!

— Ale mój Mateuszu, to stary stryj i stryjenka!

— Choćby i dziadunio, to nie pójdziesz! — wrzasnął zamykając jej drzwi przed nosem.

Kobięta zaczerwieniła się cała i ujęła w boki.

— Sluchaj! — rzekła groźno — gdyby nie to, że nie chcę teraz kłótni robić, postawiłabym na swoim i zrobiłabym jak chcę — ale ci tego nie daruję!

— Strasznie się też ciebie boję! — odparł szydząc Sobocki i drzwi puścił. — Idź zresztą kiedy ci się tak zachciało, ale ja krokiem się nie ruszę.

Goście już byli w sieni; Antosia zaraz wybiegła naprzeciw nich, a mąż jej został w pokoju, cały zapęrzony i nadęty chodząc żywo; gdy się ukazali w progu Antoniostwo, powitał ich dość kwaśno, niegrzecznym prawie ukłonem i z miną urazy rzekł:

— Przecież państwo łaskawi na nasz domek ubogi — prosimy, prosimy... niech też państwo siadają.

Antosia, widząc to, cała była czerwona z gniewu i boleści.

— niesprawiedliwy Waćpan jesteś! — rzekł powoli stary zbliżając się grzecznie do gospodarza, gdy

ten coraz się cofał, chmurny i nasrożony — często my tu bywamy, ale Jegomości w domu nie zastać!

— Co Pan chce! my schniemy za pracą! człowiek nie ma wolnego momentu — zawołał Sobocki nieco udobruchany.

— Ha! każdy musi pracować! — odezwał się pan Paweł.

— Ale nad naszą robotę nie ma, szelma jestem, ani gorszej, ani paskudniejszej; wołałbym jak turemnicy ulicę zamiatać! — rozgadał się ze zwykłemi żalami pan Mateusz. — Siedź za stołem cały boży dzień, ślęcz, kawęcz, a często kawałka chleba braknie, jak Boga kocham.

— Tego to nie widać u pana — rzekł postrzegłszy w kącie szampana pan Antoni, i wskazując wyraźną sprzeczność mowy i uczynku.

Zarumienił się Sobocki, z trochę dumy i machnął ręką.

— Kiedy się — rzekł z powagą — takich gości przyjmuje, człowiek chętnie ostatnie odda; wiem ja jak kogo traktować!

— Ale mój Mości Dobrodzieju — odparł pan Antoni, dosłownie biorąc żale poprzedzające — tuś

zupełnie chybił. Do czego to dla nas; na co ten koszt! czy tośmy nie swoi?

Zapérzył się znowu kancelista, rozgniewany że go z własnej winy zepchnięto na tak niski szczebel, gdy właśnie chciał grać rolę inną, i zakrywając sobą wino szampańskie, zawołał do żony:

— A cóż herbata? dawajcież herbatę!

Goście usiedli, rozmowa się przerwała, a tuż i pan Sekretarz, zaproszony w dodatku do swoich łyżeczek i ktoś jeszcze z urzędników, weszli patetyczne zacierając czuby i z wysoka stawiając nogi. Te figury, jeden czerwono-nosy wielki drągał, drugi maleńki do szczura podobny człowieczek, usiadły obok Zawilskich i powszechniejsza wytoczyła się rozprawa o powiatowych i gubernialnych wypadkach, zmianach urzędników, przejeździe gubernatorów i t. p.

Slużąca już gotowa z herbatą, wniosła nareszcie ten napój w różnokalibrowych naczyniach, a za nią sama Antosia ciasta, rum i śmietankę. Jadło ożywiło i skleilo jakoś niespojne w początku towarzystwo, tylko Sobocki zły zawsze i nadęty chodził i mruczał, z ukosa poglądając na stryja i Pawła.

Godzina tak zeszła, a że urzędnicy byli tylko wezwani dla parady, i czasu nie mieli, wnet po her-

bacie odkorkowano szampana, ponalewano go w pożyczane kieliszki i poczęło się oblewanie tym trunkiem nieodzownym każdój uczty i przyjęcia. Poczém dygnitarze, zaszczyciwszy swoją bytnością Sobockiego, który ich aż za bramę śmiejąc się i dworując przeprowadzał, odeszli, a familia została sam na sam.

Teraz Pan Mateusz, wsparty odwiedzinami wysokich figur sądowych, jeszcze bardziej z góry poglądał na swoich krewnych. Pan Paweł bardzo chciał się dopytać, czy przez Jasia niéma szwagier jakich wiadomości tyczących się Kasztelanica, i czy tam nie zamierzają co około niego, ale rozmowa nie mogła wpaść na ten przedmiot, a sam jój, dla wielu przyczyn, w tę stronę kierować nie mógł, bo się obawiał domyslności Sobockiego.

Trwało to do dziewiątej godziny; rozmawiano o wszystkiém, wreszcie coś ktoś szepnął z przypadku o Kasztelanicu, podobno Antosia, i Sobocki ucha nastawiwszy wśrodku pokoju stanął.

— A! Kasztelanic!—rzekł—i to ciekawa figura! a imnie aż żal tego Jaśka że on tam przy nim wisząc, schnie!—to słyszę sknera nadzwyczajny!

— Podobno! podobno! my go prawie nieznamy—przeczcił przez zęby Pan Paweł.

— Już ja to wiem dobrze — mówił, chodząc wielkimi krokami po izbie gospodarz — skąpiąc, a co dziw, mówią że w interesach źle — źle.

— Któż Panu to mówił?

— Jaś!

Ojciec i syn spojrzeli po sobie znacząco — to widać kłamstwo Jasia o Kasztelanicu, lub zmowa z Sobockim, nie było bez znaczenia i odkrywało jakieś na dal zamiary.

— Majątek znaczny — dodał Sobocki — ale podatków nawet regularnie nie wnoszą! Jakkolwiek bądź, to zawsze ztamtąd coś na moją żonę kapnąć musi i powinno! — dorzucił mierząc badającym wejrzeniem stryja i Pana Pawła.

— A jakże! — rzekł spuszczać oczy na tabakierkę Pan Antoni — oczywiście, jeśli tam faworyci wprzód nie myślą i nie zatachlują co jest.

— Faworyci? kto? juściż nie Jaś, bo to dobre cielątko.

— A! uchwaj Boże, żebym go posądzał — przerwał stary podchwytyjąc się — ale Panna Aniela i ten kamerdyner Terminiński.

— Ta! żebym ja wiedział — rzekł stając i poczynając gryść palce znowu, z wejrzeniem żmii na swoje.

Inter. Tom I.

ich gości—żebym ja wiedział, że mnie się to na co zda, że tak wezmę na przykład jaką wieś porządną i ten psi chleb będę mógł porzucić, tobym ja dał rady faworytom!! Panna Aniela —począł wygadywać się pod wpływem szampana—to tutejsza podobno mieszcanka; ciotka jej Robowa tutaj mieszka; możnaby ją o co pociągnąć do sądu, oddać pod nadzór, do miasta sprowadzić i niepozwolić wyjeżdżać; staryby o niej zapomniał. Co się tyczy Terminińskiego, to albo zagraniczny człowiek.... albo odnodworec.. jeśli za paszportem, możnaby dla jakiej nieformalności odesłać go na miejsce pierwszego pobytu, a z odnodworcem też łatwo. Ot!—dodał klaskając usta i mrugając okiem a krzywiąc usta— na wszystko są sposoby!!

I widać jak był dumny ze swego sprytu, bo spojrział po zdumionych gościach, jakby do nich mówił:— A co? myślicie żem nie chwyt? zjadłbym ja was wszystkich w kaszy!

Na starym Panu Antonim i Pawle wyrazy te zrobiły zarówno przykre wrażenie; dreszcz im przebiegł po plecach, ale pokryli śmiechem niezręcznym przestroch i gorycz, której doznali; zdawali się tylko po-

dziwiać wysoki talent Pana Sobockiego. Ten się poczynił rozgadywać bez miary.

— Co to? na wszystko jest sposób byle głowa — rzekł siadając i rozwaliwszy się z dumą na krześle. — Nie takie to my interesa robili nieraz! Ale mnie się to na nic nie przyda! Taka już dola moja, żeby ciężko pracować i w niedostatku zginąć.

— Przyjmźcie dobrą radę od stryja — wystąpił pan Antoni — ta praca cię widać tak męczy, że ją sobie często wynagradzasz zbytkiem — bądź oszczędniejszy. — Ot i dziś, po co było tracić na szampana?

— Diabli ich bierz te kilkanaście rubli — krzyknął zacierając czuprynę Sobocki — co to, ja fortunę bym z nich zrobił?

— Ziarnko do ziarnka.

— U mnie tak — dodał pan Mateusz — albo wiele, albo nic — co mam sobie jeszcze żalować?

Oczy mu zabłysły krwawo i straszno; stojąca za nim żona wzdrygnęła się i westchnęła, on ciągnął dalej.

— Pal diabli kutwienie, aby weśolo przebyć chwilę... u mnie ręce a głowa to moja fortuna!

Rozmarzony począł dziwnie bredzić. — Znać było w téj rozprzężonej napojem myśli, łachmany codzien-

nych marzeń, dzikich, samolubnych, zwierzęcych i strasznych, bo żadnym nie wstrzymanych hamulcem.

Stary, który słuchał smutnie tych wynurzeń, spuścił głowę na piersi, a Paweł, niewiedząc co począć, czy śmiać się czy potakiwać, siedział jak na mękach. Pani Antoniowa, wyprostowana jeszcze bardziej niż kiedy wsgardliwa, zdawała się okiem wyrzucać mężowi, że ich tu przyprowadził; w tém spojrzała na Antosię stojącą za krzesłem Mateusza i w blasku świec postrzegła dwie łzy, które biedna kobieta usiłowała pokryć uśmiechem wymuszonym — ujrzała to i wzdrygnęła się.

Godzina dziesiąta wybiła, wszyscy się żegnać ruszyli.

— A pan ztąd do domu? — spytał Sobocki Pawła.

— Ja, niewiem, może jeszcze zajrzę do siostry.

— A! do Roboży.

— Tak jest.

— Proszę się Tekli klaniać odemnie, dodała szybko Antosia, zapobiegając żeby się mąż więcej nie wygadywał.

Sobocki uklonił się poważnie, wszyscy wyszli.

Za bramą dopiero, dobrze podszedłszy ulicą, pan Antoni odwróciwszy się i nikogo niewidząc za sobą, o dezwał się:

— O! cóż to za los téj biednéj Antosi! i co to za człowiek!

Nikt nie odpowiedział.—Módlmy się za nią—dodał starzec—oni źle skończą! ten człowiek mnie przeraża.....

Pani Antoniowa choć rada się była z mężem posprzeczać, nie miała się o co zaczepić; nikt też przeczyć nie mógł, zamysłeni poszli powolnie przez puste uliczki do domu.

Po za niemi u Sobockich, głuchy hałas słysząc było.



Biblioteka Raczyńskich

JK2857



JK2857